



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Nieużyteczni, komedia w czterech aktach Edwarda Cadol przełożona przez Joannę Belejowską. — Trzy strofy. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Szpielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Korespondencja z Paryża. — Przegląd literatury zagranicznej. — O ubiorach. — Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkusowego. — Przepisy kuchenne.

NIEUŻYTECZNI.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH

EDWARDA CADOL

przełożona

przez Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

Scena 11.

Aniela, Paweł, Mesnard.

Aniela. Jesteś przecie! Po cóż przysyłano po ciebie.

Mesnard (wchodzi i całuje żonę). Pomówimy o tem. Paweł (n. str.). Wyrażnie mu zawadzam.

Mesnard. Dzień dobry, kochany Pawle.

Paweł. Dzień dobry. Doprawdy bardzo grzeczny.

Mesnard. Jaki?

Paweł. Wyjeżdżasz nie mówiąc gdzie i po co... żona tak była niespokojna.

Mesnard. Ach! moja droga...

Aniela (cicho). Nie zważaj na jego mowę.

Paweł (który oczekiwał odpowiedzi). Z przyjemnością postrzegam, że nie raczysz zważać na moje uwagi.

Mesnard. Ależ, kochany Pawle...

Paweł. Ach! mój kochany, nie wiem co ci jest, ale od kilku dni tak dziwną jakoś przybrałeś postawę... Mówię otwarcie i proszę cię odpowiedz równie szczerze. Jeśli ci zawadzam...

Aniela. Co ci znów do głowy przychodzi?

Paweł. O! wiesz że cię kocham z całej duszy, i nie obrażę się cokolwiek podoba ci się mi powiedzieć... ale nie idzie zatem abym miał znosić coś podobnego od... kogo innego.

Aniela. Doprawdy bijesz się z wiatrem... sam nie wiesz o co się gniewasz.

Paweł. Wiem, wiem... jestem rodzajem nieszkodliwego warjata!.. Mów co chcesz, ale muszę wypowiedzieć co mi leży na sercu... Doprawdy, Mesnardzie nie bardzo jesteś dla mnie uprzejmy... Rozumiem, u przemysłowca interesa przedewszystkiem... widać też tak cię owładnęły, że nawet stosunki rodzinne stoją im na zawadzie, i dla tego są chwile w których możnaby sądzić iż pragniesz przypomnieć mi że Pa-

ryż nie daleko, i że mógłbym tam stanąć za dwie godziny.

Mesnard. Pawle, słowa twoje bardzo bolesne dla mnie... a wierząc mi złą wybrałeś chwilę.

Paweł (ironicznie). To uważaj zem nie nie powiedziać. A ponieważ zapewne będzie rozmawiać o rzeczach bardzo mądrych, niedostępnych dla mojej ograniczonej inteligencji więc nie przeszkadzam. (Wychodzi.)

Scena 12.

Aniela, Mesnard.

Mesnard. Co jemu jest?

Aniela. Nic nie wiem.

Mesnard. Nie wiesz a spuszczaś oczy. Zdaje mi się że oboje rozumiemy.

Aniela. Co chcesz przez to powiedzieć?

Mesnard. Czyż cię to nie zadziwia że brat twój, który ma najlepsze, najczystsze serce, jest tak uprzejmy, względny, pobłażliwy dla wszystkich, dla mnie jednego bywa niekiedy szorstki i przykry. Długo daremnie szukałem powodu, i pomimo całej dla niego przyjaźni musiałem uznać że jest niesprawiedliwy... aż nareszcie zrozumiałem.

Aniela. Jaki?

Mesnard. Przed chwilą będąc w ogrodzie, widziałem córeczkę naszą jak swobodnie latała od drzewa do drzewa, i śledziłem ją wzrokiem, myśląc o przyszłości. I wystawiałem sobie dorosłą, piękną i dobrą jak ty, mój aniela, i nareszcie mężatką. Na samą tę myśl serce moje ścisnęło się boleśnie, i sam nie wiedząc o tem, zawołałem głośno: „O trudno mi było kochać tego kogo ona pokocha! I w tej chwili pojąłem że i miłość braterska może być zazdrością.

Aniela. Więc sądzisz...

Mesnard. Paweł cię wychował, wypieścił, i długo wszystkim był dla ciebie... Wiesz, moja droga nie całujemy się przy nim. (Aniela ścisła go czule. Mesnard zdziwiony). Aniela!

Aniela. Przecież Pawła nie ma!... Ale powiedz mi dla czego wyjechał tak rano?.. czego chciano od ciebie?...

Mesnard. Potem...

Aniela. Powiedz zaraz, bo będę niespokojna.

Mesnard. Ale bo...

Aniela. Ach! pewnie co złego?...

Mesnard. Czy nie zabraknie ci odwagi?

Aniela. Możeż że wątpić o mnie?

Mesnard. O nie! ufam ci nieograniczenie... ale je-

stem nieco zmieszany.... jednak nie przerażaj się zbyt.

Aniela. O! mów prędzej, mój drogi!

Mesnard. Powodzenie odurzyło mnie, zaślepiony nim mniemałem że zawsze tak będzie, i nie przewidziałem trudności jakie dziś stanęły mi na drodze. Popychany myślą, której urzeczywistnienie było mojem najdroższem marzeniem, forsowałem zbytecznie produkcję fabryki, podjąłem się za wielkich obślunków, i to naraziło mnie na znaczne straty. Wprawdzie mam jeszcze podnieść dość znaczne sumy, ale mam także wypłaty.... Kapitał jaki posiadałem, oddałem

Aniela. Dla mego brata, wiem o tem.

Mesnard. Skądże....

Aniela. Desrives mi powiedział.

Mesnard. I nie żałuję tego wcale. Przekonany byłem że dobrze robię, myślałem....

Aniela. Jaki! i jeszcze się tłumaczysz!!!!...

ci pozostaje....

Mesnard. Nic. Tylko twój posag.

Aniela. A więc...

Mesnard. Ależ on wyłącznie do ciebie należy.

Aniela. Ach! mężu, jak możesz tak mówić, wszystko co mam jest twojem.

Mesnard. Aniela!

Aniela. Ani słowa więcej. Podnieś moją posagową sumę, zapłać co się od ciebie należy... Czy tylko wystarczy?

Mesnard. Tak, — ale nie nie zostanie.

Aniela. Bądź spokojny mój drogi, zaczniemy się znowu dorabiać...

Mesnard. Lecz czy będziemy mieć o czem!...

Aniela. Co mówisz?

Mesnard. Moja droga, przemysł nie da się prowadzić samą pracą, potrzeba koniecznie kapitału a na nim mi zbywa.

Aniela. Więc cóż nam pozostaje czynić?

Mesnard. Gdybym miał do rozporządzenia potrzebny kapitał, mógłbym nie tylko się podźwignąć, ale nawet wielkie zapewnić sobie korzyści, — w przeciwnym razie muszę sprzedać fabrykę i na nowo rozpocząć od małego. Mam piętnaście dni do namysłu.

Aniela. Zrób jak stosownem uznasz, co do mnie, z tobą wszystko i wszędzie mi miłem.

Scena 13.

Ciż, Paweł.

(Paweł wchodzi pomieszany, z miną człowieka żalującego i pragnącego nagrodzić swą porywczoność.)

Paweł (serdecznie.) Przebac mi, Mesnard'zie... (Podaje mu rękę). Sam nie wiem co mi przyszło do głowy... sam to znam do siebie że czasami bywam bardzo cierpki.

Mesnard. Eh! mój drogi, nie tłumacz się; ktoś z nas wolny jest od napadów złego humoru.

Paweł. Ach! kocham cię za to! (podaje rękę). Kazałem zaprzężyć do powozu, — obudziłem Henryka, (do Anieli) nie posiada się ze złości... Pojedźmy na spacer, sam nie wiem gdzie... Ale żebyście mnie nie posądzili o zdradę, więc oznajmiam że Tréviers nie jedzie... Cóż, czy pomimo to mogę liczyć na was?

Mesnard. Ja bo...

Paweł. Masz sobie... znowu nieznosne twoje papierzyska stają na przeszkodzie... Szczególne zamiłowanie!... Ależ mój kochany, raz rzuć je do licha... wszak życie tak krótkie... rzuć mówię, a zobaczysz, będziemy się bawić.

Mesnard. Nie mogę, mam termin, czekają na mnie.

Paweł. To niech czekają... Nie!... coś robić.... (Do Anieli). Ale ciebie zabieram.

Aniela (na znak zgody). Dobrze.

Paweł (uderzając Mesnard'a po ramieniu). Do widzenia!

Aniela. Więc mamy się bawić?...

Paweł (w głębi). Cierpliwości, Henryku idziemy zaraz. (Aniela przesyła mężowi ręką pocałunek od ust.) Chodźże już. (Wychodzą).

Mesnard. Gdyby wiedział!... (Idzie i zabiera papieri.) Ale od czegoż ja jestem!

(Zasłona spada.)

AKT III.

Wielki salon nie bardzo głęboki, umeblowanie nie zbyt wykłintne.

W głębi wielkie okno otwierające się na balkon, drzwi po bokach, fortepian, okna wychodzą na park. Rzecz dzieje się wieczorem, tegoż dnia co akt poprzedzający.)

Scena 1.

Henryk, Tréviers, Helena, Jan.

(Za podniesieniem zasłony, Jan wchodzi niosąc na tacy filiżanki do kawy i stawia je na stole. Helena nalewa kawę. Tréviers i Henryk siedzą. Helena podaje kawę Tréviers'owi a potem Henrykowi.)

Tréviers. Prawdę powiedziawszy, ten dziadek stryjeczny nie był znów, jak to mówią złym człowiekiem, — ale według pojęć światowych, za mało miał przesądów. Jeszcze za konsulatu, został bardzo skompromitowany w jakiejś sprawie o przedajność i lichwę, i nie mając co robić, „pewnego pięknego poranku“ opuścił kraj i żonę.

Henryk. Ciekawy jestem kto go więcej żałował: kraj czy żona.

Tréviers. Nie mogę zapewnić że żona, to pewna że w lat kilka potem dowiedziała się z wielkim zdziwieniem, że mąż jej został turkiem, korsarzem i handlarzem niewolników.

Henryk. A to mi gagatek! Założyłbym się że się tam ożenił.

Tréviers. O i nie raz! ale umarł już, pokój jego popiołom! Zostawił ogromny majątek, ale że z tak niegodziwego pochodził źródła, więc uważałem sobie za obowiązek, i mało sto razy powtórzyłem memu siostrzeńcowi, że powinien rzec się tego spadku.

Helena. Czyż to jest możliwe?

Tréviers. Najzupełniej, i właśnie liczyłem na to.

Helena. Więc można rzec się spadku.

Tréviers. Jest to jedno z najświętszych praw naszych... z którego o ile można najmniej korzystamy.

Helena. Więc zapewne siostrzeniec pana nie wiedział...

Tréviers. Ale gdzież tam! Kładłem mu to w uszy od rana do nocy, a nie dość na tem dałem mu opis artykułów kodexu i komentarzy najśłynniejszych prawników, oraz gotowy akt zrzeczenia który tylko podpisać należało.

Henryk. I nie dał się namówić.

Tréviers. Raz już tyle mu nagadałem, przedstawiając że honor, godność i inne podobnie szumobrzmiające wyrazy, nakazują mu iść za moją radą... że już, już zaczął się wachać. Ale w ostatniej chwili.....

Helena. Pojmuję jak przykro panu być musiało. *Tréviers* (nawnie). Nad wszelki wyraz, bo gdyby się był rzekł, spadek przeszedłby na mnie.

Helena. Co!

Henryk (śmiejąc się). Nie zupełnie zrozumiałaś pani.

Helena. Ale skoro potępiasz pan siostrzeńca że przyjął ten spadek?

Tréviers. A! to zupełnie co innego, on jest spadkobiercą w prostej linii, nosi toż samo nazwisko... gdy tymczasem ja.... Wreszcie, w razie zrzeczenia się jego, musiał przecie ktoś przyjąć spadek.

Henryk. Więc baron byłby zrobił to poświęcenie. (Helena przechodzi, — do Tréviers'a). Wszak prawda, baronie, że opowieści jakie jedna za drugą wygłaszasz, mają na celu przysposobienie panny Heleny do przyjęcia twego oświadczenia?

Tréviers. Robię co mogę.

Henryk. Wszak miałeś pan dziś wyznać swoje uczucia?

Tréviers. I rzeczywiście w tym celu przybyłem... ale taki tu dziś niezwykle zamęt, że nie mogłem dotąd upatrzeć stosownej chwili. Mam jednak nadzieję że dziś wieczorem....

Henryk. Lękasz się pan aby Desrives cię nie uprzedził.

Tréviers. Eh! nie.... tylko jeśli mam wierzyć pewnym pogłoskom..... Zresztą dowiem się o wszystkim dziś wieczór.

Henryk. Jakże pragnąłbym być świadkiem!

Tréviers. Czemu?

Henryk. Aby się nauczyć.... może przyjsz kolój na mnie....

Tréviers. Masz słusność, żeń się.... w naszym wieku nie można już myśleć o czem innym.

Henryk (ściska jego rękę). Mocno obowiązany.

Scena 2.

Ciż, Paweł, Aniela.

Aniela (do Heleny). Zastępowałaś mnie?

Helena. Oddaje ci rządy.

Aniela. Zatrzymaj je.

Paweł (do Tréviers'a). Jeszcze pana zastaję.

Tréviers. Czy panu zawadzam.

Paweł. Nie myślisz pan tego.

Tréviers. Hm....

Paweł. I w czemże u licha, mógłbyś mi zawadzać! Tylko że już późno, mrok zapadnie nie długo i nim powrócisz do domu, twoje ziółka z ubitem żółtkiem, zupełnie będą zimne, droga przepaściasta i pełna wybojów a przecie dosyć daleko stąd do twojego skrzydła.

Tréviers. Skrzydła? do jakiego skrzydła?

Paweł. Do pałacu de Tréviers. A gdyby też kabriolet potamał się w drodze!

Tréviers. Przyjechałem konno, spacerkiem.

Paweł. A!.. ślicznie musisz wyglądać na koniu. Czy widziałas go w tej postawie, kuzynko?

Tréviers. Ślicznie! ślicznie jeżdżę.... jestem uczniem Pollier'a.

Paweł. Ciekawym czy Pollier przyznaje się do tego.

Tréviers (n. str.). Co jemu się dziś stało?... (Głośno). Jakoś nie w swoim humorze dziś jesteś. Czy panna de Solre miała wczoraj kwaśną minę?

Paweł. Trochę. Tęskno jej było że cię tak dawno nie widziała.

Tréviers. Więc nawet twoje grzeczności i czułe spojrzenia nie zdołały rozpoznać jej czoła?

Paweł. Otóż cała bieda że nie umiem być czułym. Zdaje się że koniecznie do tego trzeba mieć umizgliwą minę, mrugać powiekami, wytrzeszczać oczy i na koniec puszczać olbrzymie westchnienia.... otóż w tem sęk.... Jeszcze zdobyłbym się może powiedzieć jaką grzeczność, ale brak mi niezbędnych konkurentowi ruchów i postawy.... Gdybyś chciał dać mi lekcję

Tréviers (urazony). Rzeczywiście, wartoby....

Helena (chcąc przerwać, zbliża się do Pawła i podaje mu filiżankę kawy). Proszę pana, ale nie kładłam cukru.

Paweł (biorąc kawalek cukru). Najuprzejmiej dziękuję. (Do Tréviers'a). Nie pijesz, baronie?

Tréviers. Dziękuję, już piłem.

Paweł (do Heleny). Gniewasz się na mnie za owe róże, kuzynko.

Helena. Ja! (Ręka jej drży, aż szczypekzyki zadrgały.) Nie, panie Pawle.

Paweł. Pewno? bo też nie miałas powodu, dając ci najświętsze słowo że mówiłem szczerą prawdę.

Aniela (zbliża się do Pawła). Cóż znów upatrzyłeś sobie do barona.

Paweł. Nic, — tylko jak sobie wspomnę jego zamiary względem Heleny, złość mnie bierze na starego birbanta.

Aniela. I co ci to szkodzi.

Paweł. Nudzi mnie.

Aniela. Biedny baron, nie ma dziś szczęścia. Już pierwszy Henryk tam mu nadgryzał.

Paweł. Doprawdy?... dobrze zrobił.

Aniela. Wiesz co, zdaje mi się że on myśli trochę...

Paweł. Kto znowu?

Aniela. Może się mylę, ale zdaje mi się, że chociaż nie przyznaje się do tego, ale Helena dość mu się podobała.

Paweł. Henrykowi? Oszalał!

Aniela. Czemu?

Paweł. Za młody jest.

Aniela. Doprawdy, Pawle, można by do ciebie zastosować owo przysłowie o psie „co to sam siana nie je a na drugich warczy“. Nienawidzisz małżeństwa, i dla tego nie chcesz...

Paweł (przerwijąc). Czyś co zauważyła?

Aniela. Nic ważnego, ale...

Paweł. Proszę cię mieć baczne oko na mego. A cóż na to mówi Helena?

Aniela. Nie wiem... i być może że się mylę.

Paweł. Dowiedz się koniecznie...

Aniela. Jak cię to wszystko zajmuje!

Paweł. Nie dziwnego. Od kilku miesięcy jak mieszkam u was, pojęcia moje dużo się zmieniły. Życie rodzinne ma to do siebie, że ożywcza swą atmosferą owiewa i pokrzepia tych nawet co go nie są godni, — tak moja droga, nie można zbliżyć się doń bezkarnie. Powoli przyswajamy sobie interesa, kłopoty i zajęcia tych co nas przyjęli do swojego kółka; obchodzą nas ich nadzieje, drogi nam jest honor i spokój rodzinny. Dziś już wydaje mi się że Helena jest moją kuzynką, i drażni mnie to niewymownie widząc ją przedmiotem chciwości takiego bydlęcia jak Tréviers. Nie mogę także pogodzić się z myślą, żeby miała zaślubić takiego dzieciaka jak Henryk, lub też prozaicznego i zimnego Desrives'a. Czemuż młoda ta dziewczyna nie miałaby być tak kochaną jak inne kobiety? Wszyscy dziś starający się nie znają jej zupełnie: posiada ona tyle gracji, powabu wyższości umysłu, słowem urok tak nieprzeparty, że żaden z nich nie jest nawet zdolny poznać się na tem.

Aniela. Tak sądzisz.

Paweł. Tak jest, moja droga. Wierząc mi trzeba dać odprawę wszystkim tym pretendentom. Helena jeszcze tak młoda więc nie potrzebuje się spieszyć, — mogłaby to zbyt drogo przypłacić. Dziś jeszcze nie zna się i nie ufa sobie, jakiś niewczesny wybryk mógłby narazić całą jej przyszłość, a jak mówiłem ma prawo żądać aby była kochana bardzo bardzo kochana, więc... niech poczeka trochę.

Aniela. Ależ mój drogi, nikt w świecie mniej jak ona myśli o zamążpójściu. Przyznam ci się że mnie to nawet niepokoi.

Paweł. Z powodu?

Aniela. Nie zdradzając jej zwierzeń mogę jednak powiedzieć ci, że nie chcę pójść za mąż.

Paweł. Ach! widzę że i ty nie umiesz jej pojąć.

Aniela (śmiejąc się). Więc ty sądzisz?...

Paweł. O! ja wiem co mówię. Dziś nie chce słyszeć o zamążpójściu, bo odstręcza ją od tego widok małżeństw skojarzonych jedynie przez interes, lub jakie bądź wyrachowanie... Dla jej tkliwej duszy potrzeba jedności uczuć, pojęć i myśli... Potrzeba prawdziwej i głębokiej miłości, poświęcenia bez granic... Ale bądź spokojna, pomówię z nią...

Aniela (śmiejąc się). Ty!

Paweł. Tak, ja!... i zobaczysz wszystko się ułoży.

Henryk (z ogrodu, wsparty o balustradę). Pawle, chodź przejść się po ogrodzie i wypalić cygaro.

Paweł. Dobra myśl. (na str.) On miałby ożenić się z Heleną! o! nie z tego. (Do Tréviers'a). Pójdiesz ze mną baronie.

Tréviers (oschle). Nie palę wieczorem.

Paweł (na str.) Aha! chce pozostać z Heleną! (do Heleny). Chodź z nami, kuzynko.

Tréviers (do Heleny). Czy pani pali?

Paweł (drwiąco). Nigdy wieczorem.

Henryk, Paweł, Helena, wychodzą.

Scena 3.

Tréviers, Aniela, Jan.

Tréviers (n. str.). Wybadam nieco stan rzeczy.

anim mąż nadejdzie. (Głosno). Myślałem że zobaczę się z panem Mesnard.

Aniela. Jest zapewne w ogrodzie. Czy masz pan jakiś interes?

Trévères. I tak i nie.... Najpierw zawsze miło mi go widzieć.... a potem nikt nie umie lepszego udzielić rady.... i dla tego chciałem z nim pomówić.

Aniela. Może kazać go prosić? (Jan sprząta po kawie).

Trévères. O nie pani! pewnie sam niezadługo nadejdzie.... A potem są w życiu naszym sprawy, z których rozwiązaniem nie należy spieszyć się zbyt.

Aniela (n. str.). Czyżby zamyślał się oświadczyć?

Trévères. Ach! bo.... zapewne zdziwisz się pani nie po mału, ale chodzi o rzecz nadzwyczaj ważną.... i dla tego dawno już przysposabiam się do tego. Postanowiłem sobie całkiem nowe rozpocząć życie.

Aniela (była coś odpowiedzieć). Bardzo pięknie, bardzo chwalebnie!

Trévères (n. str.). Po nitce dojdę do kłębka. (Głosno.) Piękna to rzecz wesołe kawalerskie życie, ale w końcu nuży zbyt i pewną, choć trochę pozostawia za sobą. Wszystko tam jest tak gorączkowe, tak silnie wstrząsające całym organizmem, że gdyby nie powstrzymać się w porę, to owo nieustanne drażnienie mózgu, mogłoby nareszcie całkiem wysuszyć serce.

Aniela (niby nie rozumiejąc). Ach! podlegasz pan cierpieniom mózgowym!

Trévères. Co! (n. str.) Co ona wygaduje? (Głosno.) Nie pani, nie mam pomieszczenia zmysłów.

Aniela. Ach! myślałam....

Trévères. Chciałem tylko dać pani do zrozumienia, że przychodzi chwila kiedy każdy rozumny człowiek zaczyna uczuwać znużenie, a nareszcie i ubolewać nad swym lekkomyślnym i hulawczym życiem, widzi że trzeba co prędzej naprawiać uszkodzenia na jakie liczne rozbicia łódź jego naraziły, i z upragnieniem szuka portu w którym uniknie burz i wstrząśnień.

Aniela. Mówisz pan pod pizenością.

Trévères. Tak pani. Otóż chwila o jakiej wspominałem nadeszła dla mnie. Przyznaję, że długo za ledwie myśl ta śmiała zakiełkować w moim umyśle; zapytywałem sam siebie, czy po tak burzliwym życiu, po tylu najróżnorodniejszych przejściach, w których tu i ówdzie zostawiałem poszarpane szmatki serca na krzaczkach przydrożnych, czy potrafię po-przestać na cichem, jednostajnym domowym poży-
ciu... I jak zacząłem szukać, tak odkryłem w sobie nową, całkiem nieznana dotąd stronę....

Aniela. Doprawdy?

Trévères. O tak! I nie wystawisz sobie pani jak dziś już jestem czułym na te wszystkie uprzedzenia, troskliwe staranie, pieśczęty, dogadzanie i najzupełniejsze poświęcenie i zaparcie siebie, jakich możemy wymagać od wybranej towarzyszkii życia.

Aniela. Bardzo to chwalebnie z pana strony, — ale czy tylko nie lekasz się trochę rozczerowania?

Trévères. Co do mnie?... niepodobna! jestem chodzącym sercem.

Aniela. Wierzę.... ale czy tak łatwo przyjdzie panu znaleźć osobę zdolną do tych uprzedzeń, troskliwych starań i pieśczęty, których uczuwasz potrzebę? Ach! bo mówiąc między nami program jest trochę za nadto skomplikowany, i pytam siebie, czy w dzisiejszym świecie, znalazłby wiele panien, coby się czuły na siłach że mu podołać zdołają.

Trévères (filuternie). Cóż mi potem żeby ich było wiele.

Aniela. Trzeba panu jednej tylko, — prawda i to, jesteś pan uosobioną logiką.

Trévères. I myśle że nie szukając daleko....

Aniela. Odgaduję myśl pana.

Trévères. Jakże mnie to cieszy! Więc mogę liczyć na poparcie pani?

Aniela. Czemużby nie.... przynajmniej z panem można wiedzieć czego się trzymać.... nie wprowadzasz ludzi w błąd.

Trévères. Taka już moja natura, nie cierpię o-błudy.

Aniela. Widać szczerść jest główną pana cnotą, i przynajmniej nikt nie może ci zarzucić, „że więcej obiecujesz, jak dotrzymujesz.“ Chcesz żeby ci dogadzać, pieścić, zawsze i wszędzie, i „o każdej dobie“ myśleć tylko o tem żebyś ty był zadowolony i szczęśliwy, i nie więcej, — to jasne jak słońce, nie podobna nie zrozumieć. Wszystko pięknie, panie de Trévères, i gdyby to było w mej mocy zapewne zro-

biłabym wszystko coby mogło urzeczywistnić chwałę jego zamiary, ale w tym razie nie dopomóż nie mogę, osoba o której pan myślisz nie zależy ode mnie, nie podobna mi więc narzucać się z nieproszoną radą.

Trévères. Ale gdyby jej zażądała?

Aniela. O w takim razie....

Trévères. W takim razie....

Aniela (śmiejąc się). Możesz pan być pewnym że... szczerze powiem co myślę.

Trévères (uradowany). Dziękuję, stokrotnie dziękuję... niczego więcej nie żądam. Więc nie zwlekając rozmówię się z p. Mesnard.

Aniela. Dobrze pan zrobisz... Otóż właśnie nadchodzi.

Trévères. Ach! rzecz niepojęta! serce mi trochę bije. (Mesnard wchodzi).

Scena 4.

Ciż, Mesnard

Aniela. Mężu pan de Trévères chce właśnie pomówić z tobą, odchodzę żeby wam nie przeszkadzać.

Mesnard. O cóż chodzi?

Aniela. Dowiesz się. Pau de Trévères chce otworzyć ci swoje serce w przedmiocie wszystkich nas obchodzącym.

Trévères (n. str.) Pójdzie jak po masło.

Mesnard. Zaraz panu służę. (Do Anieli). Gdzie jest Helena?

Aniela. W ogrodzie.

Mesnard. Proszę cię przyslij mi ją zaraz. (Aniela wychodzi).

(d. c. n.)

TRZY STROFY.

I.

Gdy nieznajomy przybyłem w Twe strony,
I nim mnie owiał czar Twojej istoty,
Pamiętasz — byłem, jak anioł stracony,
Pelen niewiary, szyderstwa, zgryzoty.
Czasami, w cudne rozmów Twoich treści,
Mieszałem ziarna śmiechu i zwątpienia,
I nie zadrzałem — choć pełne boleści
Zwracałaś wtedy dokoła spojrzenia.

II.

Lecz gdy Cię zegnał, widziałas mnie przecie,
U stóp ołtarza, klęczącego w skrusze,
Odrodzonego, niby ono dziecko,
Któremu kapłan obmył z grzechów duszę.
Widziałas na mych ustach modłów słowa,
Mą wiarę, niby gwiazdę na obłoku,
Promienną, czystą, jak szata godowa,
Jak łza co wtedy lśniła w Twojem oku.

III.

Kobietu, siostru, matko i kochanko!
Iskrę wszechmocy posiadasz — szczęśliwa.
Mów, patrz się na mnie, serc ludzkich kapłanko,
A gdy spostrzeżesz że wielkie ogniwa
Prawdy pękają, w piersi Twego brata,
Kobietu — spojrzij, przemów namaszczone.
Przymierzka Arką został w pośród świata,
A nikt przy tobie na duchu nie skona!

Franciszek Gumowski.

MŁOT I KOWADŁO.

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z Niemieckiego Michał Gliński.

Dalszy ciąg.

Kto z nas pierwszy przemówił nie pamiętam; z całej tej rozmowy nie przypominam sobie nie tylko dźwięk jej miękkiego, głębokiego głosu, który mi się wydał jakąś niebiańską muzyką. Musieliśmy potem z lasu wyjść i na wysokim brzegu stanąć i zapewne to wiatr, wiejący od morza, przywrócił mi przytomność, bo dziś jeszcze widzę i ciche niebieskie morze, całe ozłoczone promieniami słońca, i pianę morską, która się rozbijała o nadbrzeżne kamienie o sto stóp pod nami, i kilka wielkich mewów, które ścigały się w powietrzu a potem nagle na wodę spadały: a obok tego wszystkiego widziałem Konstancję i słyszałem jej głos:

„Matka moja była Hiszpanka, piękna jak dzień, a ojciec mój wykradł ją, kiedy tam przybył odwiedzić swego przyjaciela, którego poznał w Paryżu. Ten przyjaciel był bratem mojej matki, kochał bardzo swojego ojca, ale nie chciał pozwolić na to żeby się pobrali, bo był surowym katolikiem a mój ojciec nie tylko nie chciał zostać katolikiem ale nawet żartował sobie ze wszystkich religij. Uciekli potajemnie. Hiszpan pognął za nimi i dopędził ich w nocy na jakimś pustym miejscu. Przyszło do ostrych słów; dobyli szpady i mój ojciec położył trupem brata swojej kochanki. Matka moja zemstała i nie wiedziała nic co się stało; kiedy odzyskała zmysły mój ojciec upewnił ją że się ze szwagrem po przyjacielsku rozstali. Przybyli wreszcie do tego zamku; ale moja matka tęskniła ciągle za swoją ojczyzną i powtarzała ciągle że jej coś ciężko strasznie na sercu, jakby jakie morderstwo miała na duszy. Dowiedziała się w końcu przypadkiem, że brat jej umarł gwałtowną śmiercią; wtedy stała się ponurą, nie spała ani w dzień, ani w nocy i każdego kogo spotkała pytała się, którą drogą do Hiszpanji? Trzeba ją było zamknąć, ale zamknięcie przyprawiło ją o wściekłość; chciała sobie życie odebrać, musiano ją puścić na wolność, wtedy zaczęła znowu jak dawniej dopytywać się o drogę do Hiszpanji i pewnego ranku wskoczyła do tej głębi. Kiedy ją wydobyto już nie żyła. Miałam wtedy dopiero trzy lata, nie wiem więc jak wyglądała, ale ludzie powiadają że była jeszcze piękniejszą niż ja.“ Powiedziałam śmiało że to niepodobna; Konstancja uśmiechnęła się znów i rzekła:

— Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie; można ci wszystko powiedzieć co tylko przez głowę przeleci. Bardzo to przyjemnie; dla tego musisz przy mnie pozostać, być moim wiernym Jerzym i pozabijać wszystkie smoki czychające na mnie. Czy dobrze?

— Bardzo dobrze odpowiedziałam, a uśmiech igrał ciągle na jej koralowych ustach,

— Wyglądasz zupełnie na to! Ale jakim sposobem tutaj przybyłaś, co mój ojciec chce z tobą zrobić? Kiedy odejdziesz dzisiaj rano polecił mi cię jak najgoręcej a niezwykle troszczyć się bardzo o los innych ludzi, musisz stać wysoko w jego łaskach. Jakim sposobem włożyłaś na głowę ten żeglarski kapelusz a w dodatku taki brzydki? Zdaje mi się żeś mówił że przybywasz ze szkoły, czy to są tacy wysocy uczniowie? Nie wiedziałam o tem. A wiele masz lat?

I tak dalej gadała sobie dziewczyna; prawdę mówiąc nie było to gadanie. bo była ciągle poważną i nieraz wydawało mi się, że kiedy do mnie mówiła, myślała o czymś inszem: czy jej patrzyły gdzie indziej, a kiedy się zwróciły na mnie to patrzyły takim wzrokiem, jakbym ja nie był żyjącym człowiekiem. Nieraz zadawała mi drugie pytanie nie odebrawszy na pierwsze odpowiedzi. Byłem rad temu, bo mogłem tym sposobem nabrać odwagi żeby na nią ciągle patrzeć.

— Spadniesz! odezwała się, dotknąwszy się palcem mojej ręki kiedyśmy przechodzili po krawędzi wysokiego brzegu. Zdaje mi się jednak że nie cierpisz zawrotu głowy.

— Nie

— No to wejdźmy jeszcze wyżej.

Niedaleko od nas na spadzistej wyżynie, leżały o-

czone gęstymi krzewami ruiny jakiegoś zamku. Jedną tylko wieżę, zupełnie okrągłą oparła się pociśniętym czasem. Była to ta sama wieża z dawnego zamku Zehrenów, na którą wczoraj zaklął się Artur że mi odbierze Emilję Heckenfennig. Wczoraj uważałem to sobie za wielkie użyczenie a dzisiaj czemże dla mnie była Emilja? Niczem. Piękna Konstancja usiadła na kamieniu obrosłym mchem i patrzyła ciągle w daleką przestrzeń: ja stałem przy niej, oparty o starą wieżę, patrzyłem ciągle w jej twarz.

— Wszystko to naokoło do nas kiedyś należało! odezwała się, zakreślwszy ręką półkole w przestrzeni, a coż pozostało teraz z dawniej świetności?

Podniosła się szybko i zaczęła schodzić po wąskiej i spadzistej ścieżce, która przez wrzosek szła ku lasowi; poszedłem za nią. Przybyliśmy znowu do owego bukowego lasu, do owej sadzawki gdzie leżała jej gitara i jej książka. Duma przejęła mnie całego kiedy mi kazała nieść oba te przedmioty, dodając że gitary nigdy jeszcze nikomu nie powierzyła, bo to była pamiątka po jej matce.

— Ale pamiętaj pan nieś ją ostrożnie, a za to będę cię uczyć grać i śpiewać, jeżeli przy nas zostaniesz.

Odpowiedziałem że sam nic nie wiem, że mam jednak nadzieję, a myśl że może będę musiał ztąd się oddalić padła mi kamieniem na serce. Przybyliśmy wreszcie do zamku.

— Oddaj mi gitarę; książkę możesz zatrzymać umiem ją już na pamięć. Czyś już jadł śniadanie? A prawda nie jeszcze! Biedny, biedny Jerzy! Dobrze że nas jaki smok w drodze nie napadł. Zdaje mi się że się ledwie na nogach trzymasz.

Poboczne drzwi, których dotąd nie widziałem, prowadziły do tej części zamku, w której mieszkał ojciec i córka. Konstancja przywołała starą służkę, której rozkazała żeby mi podała śniadanie a sama udała się do swego pokoju, podawszy mi rękę z owym dziwnym uśmiechem, który już tyle razy na jej ustach widziałem.

ROZDZIAŁ VII.

Śniadanie które mi ta brzydka, milcząca gospodyni podała, a imię jej było Pahlen, składało się z czarnego chleba, masła, sera i flaszki koniaku. Koniak był wyborny ale reszta zostawiała wiele do życzenia; chleb był kwaśny i spleśniały, masło stare i gorzkie, ser twardy jak kamień, ale czy tam zważa na takie drobnostki dziewiętnastoletni chłopak, który przez pół dnia nic nie jadł i nie pił i którego serce drżało od pierwszej miłości! Oświadczyłem tedy odrzającą gospodyni że nigdy nie lepszego nie jadł i podziękowałem jej w najlepsze za jej fatywę. Pahlen nie wiedziała co ze mną zrobić; spojrzała na mnie kilka razy swoim ponuro badawczym wzrokiem, a na wszystkie moje pytania odpowiadała jakimś mrużeniem, które mogłem sobie tłumaczyć jak chciałem.

Pokój w którym się znajdowałem był ten sam, do którego mnie wczoraj pan Zehren wprowadził. W porównaniu z pokojami pierwszego piętra wyglądał daleko lepiej; był prawie mieszkalnym, chociaż i tutaj dywan pod stołem był dobrze podarty, dębowe stołki nie bardzo pewno na swoich nogach stały a wielki starożytny kredens musiał z pewnością lepsze czasy widzieć. Okna wychodziły na dziedziniec, na który, zjadłszy śniadanie, pierwszy raz rzuciłem okiem. Był za bardzo szeroki; stodoły i stajnie, które go otaczały, miały wielkie rozmiary jak to zwykle bywa w wielkich dobrach; na środku stał gołębnik ale ani jednego gołębia w nim nie było, tylko wróble gnieździły się wszędzie; była i sadzawka dla kaczek, ale kaczek nie było, był i kurnik, ale w nim ani jednej kury, zdawało się że wszystko tam wymarło, tylko paw siedział smutny na połamanych sztachetach. Nie było nigdzie ani śladu człowieka, nie słychać było ani ryczenia krów ani rżenia koni, wszystko ciche, zamarłe, tylko paw kiedy niekiedy krzyknął odrażliwie a na starych lipach przed domem świergotały wróble.

Ponieważ zdawało mi się, że Konstancja opuściła mnie na dłuższy czas, ponieważ Pahlen na moje zapytanie, kiedy będzie obiad odpowiadała innym pytaniem, czy mi się jeszcze chce jeść, to widoczne było że na długo byłem zostawiony sobie samemu. Wszedłem tedy na podwórze i spostrzegłem że ta część zamku była po prostu oficyna, która kiedyś służyła za mieszkanie licznej służby dworskiej. Dolne po-

koje zamku miały zamknięte i zaryglowane okienice, co właściwie nie dodawało mu wcale ani przyjemności ani wesołości, a dalsze zabudowania gospodarcze wyraźnie powiadały, że od dawna już w nich niegospodarowano. Dachy pokryte mchem zapadły się, słupy pochylały, drzwi z zawias wyleciały. Stajnia do której zająłem mogła pomieścić czterdzieści koni a teraz stały tam w kącie cztery wychudłe szkapy, które zobaczywszy mnie, żałośnie zarżały — zapewne z głodu.

Zaszedłem aż na pole, gdzie znalazłem parę rozwalonych chat, a przed niemi bawilo się kilkoro dzieci brudnych i prawie nagich, dwaj zaś wyrobnicy, podobni do bandytów, patrzyli na mnie zdziwieni i nie nie odpowiedzieli na moje pozdrowienie. Poszedłem dalej; na polach dojrzewało już żyto i trochę przypalonej pszenicy, a jeszcze dalej widać było białą wieżę kościoła. Nie chciałem zapędzać się za daleko a zresztą coś mi do parku ciągnęło. Żeby ominąć zamek i mrukliwą Pahlen, dostałem się do niego z innej strony.

Spodziewałem się że spotkam tam Konstancję, ale napróżno chodziłem przeszło godzinę między drzewami, napróżno spoglądałem ku zamkowi. Nikogo nie ujrzałem, nikogo nie usłyszałem — cicho wszędzie! Ciężko mi było na sercu w tej ciszy; czułem wyraźnie jak obejmowała mnie całego, że nie mógł ani się ruszyć ani oddychać. Dawna moja bezfraszowa rzutność ustępowała miejsca głębokiemu smutkowi. Jak się tu dostałem? Co tu będę robił? Czego ja tu chcę, gdzie nikt na mnie nie zważa? Czyż to wszystko, com od wczoraj przeżył nie było snem? Czyż i owa piękna dziewczyna z ognistymi czarnymi oczami, nie była także senem marzeniem?

Ogarnęła mnie widocznie tęsknota za domem! Widziałem w myśli moje rodzinne miasto z wązkami uliczkami, widziałem mój mały pokój, do którego ze szkoły przyszedłszy, rzucałem co prędzej książki i biegłem do Artura a potem do portu. Widziałem mojego ojca siedzącego przy oknie, i jak przyciskałem się mocno do ściany żeby mnie nie dojrzał. Co on tam sobie o mojej ucieczce myśli? Czy się bardzo zmartwił? Zapewne, bo mnie lubił bardzo chociaż często byliśmy z sobą na bakier? Co on robi, kiedy się dowie, a dowie się z pewnością, że jestem u Dzikiego Zehrena? Czy mnie tu zostawi? Czy każe mi wrócić? A może też po mnie przyjedzie.

Obejrzałem się naokoło z przestachem kiedy mi ta ostatnia myśl przez głowę przeleciała. Okropna rzecz powrócić do szkoły, słuchać kazań profesora Loederera i porzucić Konstancję — pannę v. Zehren. Nie! lepiej zostać bandytą lub kontrabandyzta! Nie wiem jakim sposobem te dwa wyrazy przyszły mi do głowy, ale pamiętam dobrze że się szybko obróciłem, jak gdyby je kto inny tuż obok mnie wymówił. Nagle stanęły mi wszystkie wypadki poprzedzającego dnia jakby żywe przed oczami. Czyż byłem ślepy, czy co? Pobyt pana Zehren u Pinnowa, dziwny stosunek między szlachcicem i kowalem, ostrzeżenie Krystyny, postępowanie kowala względem mnie, niena podróż po wzburzonym morzu! Do tego wszystkiego ten opustoszały zamek, zdziczały park, i zarosłe zielskim pola! Słyszałem nieraz jak mój ojciec siedząc ze swoimi kolegami, celnikami, rozprawiał że kontrabanda strasznie się na naszych wodach rozszerzyła, że to jest obrzydliwe rzemiosło, i że za mizerną bagatelą nie jeden ryzykuje spokojność i życie. Zapewne! zapewne! Musi to być to nie co innego!

Jesteś warjat, powiedziałem sam do siebie przyszedłszy do tego wniosku. Zupełny warjat! Taki wielki szlachcic jak pan Zehren! Dla pospólstwa to dobrze, dla takiego np. jak Pinnow, ale dla pana na Zehrendorfie! Fi! Odpychałem od siebie wszystkimi siłami to podejrzenie, które mnie strasznie cisnęło. Sprowadziło się i na mnie to samo, że chociażbyśmy uważali się za zupełnie wolnych w naszych myślach i uczuciach, zawsze jednak przeważnie na nas wpływają wrażenia odebrane w dzieciństwie i w pierwszej młodości. Gdybym był jakim następcą tronu lub zbiegłym niewolnikiem od amerykańskiego plantatora, byłoby zupełnie co innego w mojej głowie, ale ponieważ ojciec mój był urzędnikiem w celnictwie, to musiał się koniecznie wyrobić we mnie to przekonanie że rzemiosło przemysłnika jest haniebnym. Mimo to, temu co się głębiej zastanawiał nad znaczeniem diabła w chrześcijańskiej teozofii, nie będzie to dziwnem, że owa piekielna otchłań miała dla młodzieńca jakiś tajemniczy pociąg i że młoda wyobraźnia lubiła około niej błąkać.

I nie mogło być inaczej! Boć nasłuchiwałem się

nieraz z jaką to stałością, znoszą ci obrzydliwi ludzie wszystkie przykrości i brak, z jaką przebiegłością wywodzą w pole urzędników celnych, z jaką odwagą narażają się na widoczne niebezpieczeństwa. Oczywiście kiedy mój ojciec opowiadał ich bajeczne prawie przygody, zawsze dodał do tego sporą dozę moralnych uwag, ale te uwagi nie były w stanie wybić z młodej głowy cudackich rojeń. Żeby prawdę powiedzieć tośmy nieraz z Arturem tę kwestję rozbięrali; szczególnie kiedysmy lekcji nie umieli, a szkoła do żywego nam dojadła. Dla tych wszystkich powodów, myśl że wpadł w ręce kontrabandyzty, dziwny na mnie skutek wywarła, niby pociąg, niby odrazę.

Jesteś warjat! powtarzałem sobie ciągle. Taki pan to niepodobna! A tymczasem szedłem mimowolnie tą samą drogą, którą dziś rano przebyłem, aż stanąłem przy sadzawce gdzie była kanapka ze mchu. Czarna jej woda spoglądała na mnie, przypomniałem sobie nieszcześliwą panią która się tu utopiła, bo nie mogła znaleźć drogi do Hiszpanji, a dziwnym pociąganiem uczuć ludzkich, córka jej wybrała sobie właśnie to miejsce na swój spoczynek. W tyle kanapki leżała druga rękawiczka, której dziś rano napróżno szukaliśmy. Schowałem ją, uciekłem ztamtąd i pobiegłem na brzeg aż na najwyższy punkt. Stałem na tej wyżynie i wyteżyłem oko w nieskończoną przestrzeń. Po niejakiem czasie obróciwszy się spojrzałem na ruiny zamku: „Tyle tylko pozostało z dawniej świetności“ powtórzyłem słowa Konstancji.

Zeszedłem z tej wysokości i położyłem się na mchu co zewsząd piął się około dawnego zamku. Na niebie przeciągały białe chmury, na morzu migał biały żagiel, po wrzosech ślizgał się cichy wiaterek. Leżeć tak i marzyć! Marzyć o miłości o tem najrozkoszniejszym próżnowaniu! Marzyć o miłości otoczonej niebezpieczeństwami i walkami, jak przystało na dziewiętnastoletniego młodzieńca. A przez wszystkich świętych! musi tak być. Muszę być jej zbawcą! Na moich ramionach muszę ją wynieść z tego umarłego zamku! Muszę ją uwolnić od tego straszego ojca! A ruiny te muszę znowu odbudować na okazały pałac, a kiedy roboty około niego skończą się, przeprowadzę ją tu, ukleknę przed nią i powiem: „To wszystko jest twoje, żyj szczęśliwa, już mię więcej nie zobaczysz!“

Tak to bujały moje myśli, bo coż innego miały robić? Co ma innego robić chłopak dziewiętnastoletni który uciekł ze szkoły, który nie ma jednego talara w kieszeni, który nie ma własnego kapelusza na głowie i nie ma gdzie głowy położyć? Co ma robić innego jak zamki na lodzie stawiać?

ROZDZIAŁ VIII.

Kiedym przez małą furtkę w parkanie wszedł na dziedziniec, odpręgano właśnie konie od małego powoziku, przy którym stał jakiś mężczyzna w myśliwskiej żakietce z przewieszoną przez ramię dubeltówką. Był to pan Zehren.

Przygotowałem sobie nie pamiętam już jaką, ale zawsze niezmiernie dyplomatyczną pozę na jego przyjęcie, ale ponieważ przez całe życie byłem złym aktorem i za mało miałem czasu do wyuczenia się mój roli, zbił mnie od razu z toru uścisk ręki i przyjazny uśmiech gospodarza. I ja uśmiechnąłem się i uściśnąłem mu rękę tak serdecznie, jakbym cały dzień o nim tylko myślał. Wyznałem otwarcie, że dziwny ten człowiek oczarował mnie! Nawet dojrzały rozum rozumnego człowieka nie byłby się oparł temu dziwnemu wpływowi. Cała postawa pana Zehren już mnie podbiła a teraz tem bardziej, kiedy go znużył, nie polowania orzeźwiło, kiedy zdjawszy kapelusz, ręką odrzucił w tył swoje czarne gdzieniegdzie siwiejące włosy, wydał mi się daleko młodszym i najzupełniej przystojnym mężczyzną.

— Byłem dziś rano przy twoim łóżku, mówił żartując, aleś spał tak mocno że mi żal było budzić cię. Gdybym wiedział że umiesz tak dobrze obchodzić się z fuzją jak z wiosem.. Ale to się da naprawić jeszcze, mamy tu zwierzyni nie na jeden dzień. Chodź teraz ze mną i rozpowiadaj mi co chcesz, dopóki nie podadzą wieczerzy.

Pan Zehren zajmował pokoje od frotu, tuż obok jadalnego pokoju. Obok małego saloniku był jego pokój sypialny. Udał się tam zaraz i zaczął się myć; rozmawialiśmy przez drzwi i dowiedziałem się zaraz że pisał do swego brata radcy skarbowego, żeby

zawiadomił mojego ojca o chwilowym moim pobycie na zamku Zehrendorf. Gdyby mój ojciec nie przestał na tem, że musiał szukać gdzie mogłem schronienia, to nikt nie powinien wiedzieć gdzieśmy się zetknęli. Czyliż nie mogło się to stać, że młodzieniec wygnany z domu przez ojca, spotkał w drodze pewnego pana, który miał dosyć miejsca na dwóch w swoim powozie i który zyczliwie zapytał się go, czy nie zechce z nim pojechać? Pinnowowi jeszcze wczoraj przykazał milczenie, a co i gdzie było i to nie powinno nikogo obchodzić.

Ogromny ciężar spadł mi z piersi, ojciec wie już gdzie jestem. A potem co? Potem zacznie się znów dawna bieda, którą dopiero co odpedziłem, bo nie mogę tutaj na żaden sposób pozostać. W tem mignęła mi w głowie szczęśliwa myśl wydostania się z tego labiryntu. Radca skarbowy był dla mojego prostodusznego ojca, jakąś wyższą istotą, która tu na ziemi ma tylko trzy inne wyższe od siebie istoty: radcę gubernialnego, Jego Ekszellencję ministra skarbu i J. K. Moś, który znowu jest zupełnie innej natury istotą. Gdyby więc p. Zehren chciał mi przy sobie zatrzymać, a pan radca skarbowy zechciał przemówić za mną do mojego ojca parę słów!.. Ale czy zechce? Nie lubił mi nigdy bardzo, a wczoraj ciężko go obraziłem. Wyjaśniłem tę moją wątpliwość panu Zehren.

— Zostaw to mnie, odpowiedział. A jak przepędziłeś dzień? mówił dalej rzuciwszy się na krzesło i założywszy nogi na krzyż. Czy widziałeś moją córkę?

— Widziałem!

— Toś bardzo szczęśliwy, bo ja jej czasem po kilka dni nie widuję. A dali ci jeść? Jak najgorzej, założę się! Bardzo źle jemy kiedy jestem w domu, ale okropnie kiedy mnie nie ma. Światło księżyca i befszytk nie idą razem! kiedy chcę dobrze zjeść to wyjeżdżam z zamku. Wczoraj np. u Pinnowa? He? wyborna kolacyjka! Dzik Zehren, kował i ty jako *Deschidado* wydziedziczony. ¹⁾ Takie przygody lubię nadewszystko.

I tak sobie gaworzył ale zawsze zyczliwie, odpowiedzi moje widocznie mu się podobały a ja znowu nie obrażałem się jak wczoraj, kiedy moje rozprawy wyrwały mu niekiedy głośny śmiech z piersi. To mi drażnił jakim jadowitem przekąsem to znowu uspokajał dobrem słowem, a zawsze okazywał mi tyle zyczliwości, że mi sobie pomyślał: Kto takim młodzianowi jak ja, okazuje tyle względów, ten musi mieć wielkie serce.

— Ale dla czego nie dają jeść tak długo! zawołał, podniósł się szybko i zajrzał do jadalnego pokoju. „Ty tu jesteś Konstancjo.“ Potem zaczęli coś po cichu rozmawiać, serce biło mi jak młot, — dla czego? nie wiem! Po chwili zawołał na mnie: „Chodź!“ i wszedłem. Obok stołu dosyć porządnie zastawionego, stała Konstancja. Nie wiem czy to inne światło, czy inne uczesanie głowy, bo podniosła włosy do góry, które teraz opasane złotą wstęgą, jakby hebanową koroną na jej głowie spoczywały, czy to inna suknia, jasno niebieska, bardzo prosta aż pod szyję zapięta, czy to inny zupełny wyraz jej zachwycającej twarzy, która teraz miała jakiś wyraz nieopowiedzianej słodczy, zapewne wszystko to razem sprawiło, że mi jej zrazu nie poznałem.

— Druga połowa przeszłego wieku, mówił pan Zehren, Karolina zupełna, brakuje tylko parę fontaży ze wstążek i Wertera ²⁾ a wszystko byłoby paradnie!

Jakiś cień przeleciał po twarzy Konstancji a powieki jej drgnęły. I we mnie coś przykrego się odezwało. Zdawało mi się że ojciec krzywdzi własne dziecko a takie piękne! Chciałem jej to powiedzieć ale nie śmiałem; wpatrzyłem się w nią jak w obraz a ona odpowiadała nam jednym zimnem: tak, nie! Ledwie dotknęła się jedzenia; wieczernę składającą się z ryb i kuropatw, upolowanych przez *Diaka*, on sam spożywał i pił obficie wyborne, czerwone wino. A rozprawa bez ustanku, prawie ciągle zwracając mowę do mnie; nie wszystko rozumiałem, ale to stało mi się widocznem, że stosunki ojca z córką nie były bardzo serdeczne. Poznałem to dobrze po tem, że i ja z moim ojcem nie raz tak siedząc razem, ledwieśmy na siebie spojrzeli i że gorąco prosiłem Boga, żeby to nieznośne posiedzenie jak najprędzej się skończyło.

Możeby i tu to samo nastąpiło, ale zakochałem się jak jakiś szaleniec w córce, a ojciec oczarował mnie kompletnie. Kiedym rano rozwijał w sobie bochaterskie postanowienie wyswobodzenia córki z tego pustkownia teraz pragnąłem dwie te tak drogie dla mnie istoty, zbliżyć i pogodzić. Że lepiejby było i rozumniej powrócić do ojca, którego tak ciężko obrażałem, o tem nie pomyślałem nawet.

Odetchnąłem swobodniej kiedym usłyszał na dziedzińcu turkot zajeżdżającego powozu. Była to zapowiedziana wizyta sąsiada i towarzysza na polowaniu pana Zehren; który przywoził znowu swojego przyjaciela. Konstancja mimo wyraźnego życzenia ojca, jakby rozkaz objawionego, chciała wyjść z pokoju, kiedy właśnie oba goście weszli i zastąpili jej drogę. Jeden z nich był barczysty, wysoki, młody blondyn z ładną regularną twarzą, z której wyglądały na świat z jakimś zadziwieniem duże niebieskie oczy, pan Zehren przedstawił mi go jako pana v. Trantów. Drugi był małą okrągłą osobką, z głową o spłaszczonym czole i czarnymi krótko ostrzyżonymi włosami, nos zadarty i małe usta wiecznie otwarte i niepospolicie zębate czyniły go bardzo do bulldoga podobnym. Był to pan Granów, były oficer, który odebrawszy znaczny spadek, wziął dymisję i kupił sobie dobra nie daleko od Zehrendorf. Konstancja musiała zostać, bo okrągły pan, jakby burza jaka wpaść na nią z rozmową, a wielki Trantów, stał nieporuszony tak blisko drzwi, że nie można się było koło niego przecisnąć. Powziąłem od razu najzupełniejszą odrazę do obu tych panów, do małego dla tego że śmiał tak blisko stanąć i rozmawiać z Konstancją, do wysokiego za to, że chociaż nie mówił patrzył na nią swoimi szklanymi oczami, co mi jeszcze bardziej drażniło.

— Bardzo źle mieliśmy dzisiaj polowanie łaskawa panno! paplał mały piskliwym głosem, ale onegdaj u hr. Grimaldi ślicznie się nam powiodło. Zabiłem trzy dubelty, to nie fraszka! Wszyscy mi zazdrościli, o mało mi na kawałki nie rozdarli. Książę nie posiadał się ze złości. „Musisz mieć diabła w sobie ty Granów.“ „Młody człowiek musi mieć szczęście.“ Odpowiedziałem. „A przecież ja młodszy od ciebie!“ „J. Książęca Moś nie potrzebuje szczęścia, książę pan będąc księciem Prora-Wick, ma j z tem samem wszystko szczęście. Tegom się znalazł nie prawda?

I mały pan Granów trząsł się od śmiechu i schował swoją małą głowę między ramiona i wydało się wtedy, że wcale głowy nie ma.

— To i książę był na polowaniu? zapytała się wreszcie Konstancja, bo dotąd ani słowa jeszcze nie wyrzekła.

— Jaki! pani nie wie o tem! A prawda! ojciec pani nie był na polowaniu u hr. Grimaldi, piszczał mały; ale myślałem że Trantów już pani opowiedział wszystko.

— Pan Trantów i ja nie jesteśmy *au courant* naszego życia, odpowiedziała dziewczęta.

— Jaki; Czy to podobna, gadał wciąż Granów! Co ja chciałem powiedzieć? Książę był; powiadają że się już zaręczył z młodą hrabianką Grimaldi. Mieszka teraz w zamku Rossów niedaleko od hrabiego; są to jedne jego dobra, które ma w tej okolicy. Wyborna okoliczność, ale czyż książę potrzebuje kiedy jakiej okoliczności! Okoliczność potrzebna tylko dla nas biedaków! Ha! ha! ha!

I mała główka zginęła znów między ramionami. Stałem bardzo blisko przy mówiących i mogłem słyszeć każdy ich wyraz, widzieć każdy ich ruch, to też dostrzegłem że Konstancja, która dotąd na pół odwrócona od Granowa, miała minę zgryźliwą, nagle kiedy Granów wyrzekł nazwisko księcia, zwróciła się z uśmiechem ku niemu, wpatrzyła się w niego a rumieniec okrył jej policzki. Nieraz sobie później ten ruch jej przypominałem, ale w obecnej chwili nie byłem w stanie rozwiązać go, bo pan Zehren wszedł z cygarami a Konstancja oddaliła się prędko, podawszy panu Granów koniuszczki palców. mnie całą rękę a panu Trantów kiwnęła zaledwie główką.

Pan Trantów potarł czoło obiema szerokiemi rękami, kiedy piękna dziewczęta znikła za drzwiami a skierował na mnie swoje wielkie, wypukłe oczy i szedł prosto ku mnie. Odpowiedziałem śmiało na wyzywające jego spojrzenie, kiedy stanął przedemną i wytrzeszczył na mnie swe oczy.

— Właśnie jest to ten przyjaciel, o którym ci Janie mówiłem, wyrzekł pan Zehren, przybliżywszy się do nas; — jak myślisz dasz mu radę?

Jan Trantów ruszył ramionami.

— Założyłem się z Janem, żeś ty mocniejszy od niego, mówił dalej gospodarz — uchodzi on w całej okolicy za najmocniejszego; uważałem to sobie za powinność, żeby mu wyszukać konkurenta.

— Ale nie dziś wieczór, — odpowiedział Jan, podawszy mi rękę. I stało się, jak gdyby ogromny brytan, z pozoru mocny i zły, położył mi łapę na kolanach. Uściskałem ją serdecznie.

— A niech Pan Bóg broni! Tego by jeszcze brakowało! zawołał pan Zehren, — mam nadzieję że młody mój przyjaciel zostanie u mnie na dłużej; chce on uczyć się gospodarstwa i z pewnością nigdzieby lepszej szkoły nie znalazł, jak u mnie!

I *Dzik* śmiał się; Granów wrzeszczał: „Doskonale“. Jan nic nie mówił a ja stałem niespokojny. Pan v. Zehren nie wyrzekł dotąd ani słowa, że miał jako uczeń u niego pozostać; a przecież myśl ta rozwiązywała w zadowolniający sposób całe moje krytyczne obecnie położenie. Co się tyczy jego wzorowego gospodarstwa dla czegożby nie miał tej iroczej nazwy w rzeczywistość zamienić? To posłannictwo przypadało jak raz do tamtego pierwszego: pogodzić ojca i córkę, uporządkować opustoszałe dobra, odbudować zamek ich ojców i być aniołem opiekuńczym całej rodziny. Takie to myśli biegały mi po głowie, kiedy panowie zasiedli do kart, a ja dla odetchnienia świeżem powietrzem, wyszedłem na dziedziniec, ztamtąd do parku i błądziłem po znajomych mi już ścieżkach. Księżyc jeszcze nie wszedł, gwiazdy błyszcząły jak djamenty, między drzewami i krzakami igrał swawolny wiaterek a w gęstwinie huczała sowa. W zamku błyszcząły światła w oknach a ciche dźwięki gitary dolatywały aż do mnie. Serce zaczęło mi bić gwałtownie; nie mogłem oprzeć się pokusie, po cichutku przybliżyłem się i dostałem się wreszcie do ballustrady otaczającej taras. Spozstrzegłem wtedy że światło wychodziło ze szklanych wchodowych drzwi; po obu stronach były dwa okna zasłonięte grubymi firankami. Z miejsca na którym stałem nie można było widzieć mieszkanki; myślałem nad tem żeby się jeszcze dalej posunąć, kiedy się ona nagle we drzwiach ukazała. Musiałem zostać, żeby się nie zdradzić, zatrzymałem oddech i ukryłem się za wielkim kamiennym wazonem. Palce jej przebiegały po gitarze, jakby szukały znajomego tonu, wreszcie akordy silniej zabrzmiały a ona śpiewała:

Słońce dzienne
Bardzo mnie lubi,
Ale ja lubię
Nocne gwiazdy.

Nocne gwiazdy
Co z dalekich krain
Przychodzą i świecą
I każą mi marzyć.

I każą mi marzyć
I każą mi płakać
Za drogim i pięknym
Za zdrajcą, za jedynym.

Za zdrajcą, za jedynym,
Któremu sobie znalazła,
Dla którego zgubiła,
Biedną moją duszę.

Ostatnie słowa wyśpiewała niepewnym głosem: zdjęła kapelusz, oparła głowę o szklane drzwi i zaczęła płakać. Byłem za bardzo wzruszony, żeby o ostrożności i o przyzwoitości pamiętać. Kamień oderwałem się od tarasu i poleciał na dół. Konstancja drgnęła i zawołała: „Kto tam!“ Wyszedłem z mego ukrycia i stanąłem przed nią.

— A to pan powiedziała.

— Ja! proszę pani o przebaczenie; słyszałem jak śpiewałaś i zakradłem się tutaj. Wiem że to nieładnie to też raz jeszcze przepraszam.

— Pan tak dobry! wyrzekła swoim miłym głosem — czy możesz tak źle mieć o mnie wyobrażenie? Jesteś moim wiernym giermkim, moim wiernym Jerzym! gdyby panu powiedziała: pilnuj tego tarasu aż do rana zrobiłbyś to chętnie nieprawda?

— Jak Bóg na niebie, odrzekłem.

— Jak to błogo mieć kogoś na świecie, który nam jest zyczliwym — mówiła uśmiechając się — Jak to błogo! i podała mi rękę, którą drząc cały ścisnąłem.

— Ale ja nie żądam nie podobnego od pana; jednego tylko: żebyś ztąd dobrowolnie, nie z mojego

¹⁾ Z romansu Walterskota: Iwanhoe.

²⁾ Alluzja do znanego dzieła Getego.

rozkazu oddalił się zaraz. Czy przyrzekasz mi to? Jak to błogo! A teraz odejdz, dobranoc.

Wyciągnęła pomału swoją rękę z mojej i wróciła do pokoju; wkrótce potem usłyszałem jak wchodowe drzwi zamknęła na klucz. Stałem w parku pod drzewem i patrzyłem na zamek. Księżyc już wszedł, wielkie budowle wybijały się teraz jasno na horyzoncie a światło z okien Konstancji dochodziło do mnie pełne czarującego uroku jaki nam raz tylko w życiu świeci. W tem zdawało mi się że jakaś postać przybyszy z drugiej strony, poruszyła się zwolna przed oknem Konstancji. Może to był jakiś robotnik, ale wierny giermek powinien być w takim razie czujnym; dla tego, nie namyślając się, poszedłem prosto ku owej postaci. Na nieszczeście stąpiłem nogą na suchą gałąź, która głośno zatrzęsiała. W jednej chwili owa postać zatrzymała się i zaczęła pocichu ale szybko uciekać. Nie była ona daleko odemnie, ale las, który leżał na końcu łąki był także blisko i w krótkim czasie owa postać przepadła w nim zupełnie. Słyszałem jak ktoś przedzierał się przez gałęzie ale chociaż prędko biegłem nie mogłem jej dopędzić. Myślałem już że mię uszy omyliły i na fałszywą zawiodły drogę, kiedym nagle w bliskości usłyszał głośny hałas i trzask, co mię przekonało że był na dobrej drodze. Trzask ten mógł tylko ztąd pochodzić że ktoś wylał sztachety otaczające park. Nie mógł już teraz ujść bo z tamtej strony był tylko szeroki ugor, a w bieganym nikt mnie dotąd nie przewyższył. Ale w tej samej chwili kiedym już był przy parkanie, rozległ się odgłos kopyt końskich i ujrzałem przy świetle księżyca jak jakiś jeździec leciał po równinie w całym pędzie konia, który musiał być dzielnym biegunem, bo w pół minuty i on i jeździec zniknęli a w drugie pół nie słychać już było biegu konia. O mało nie uwierzyłem że to był sen, gdyby mię było nie przekonywało moje mocno bijące serce ze wzruszenia i z biegu i moje podrapane ręce że to była rzeczywistość.

Ale kto był ten zakradający się śmiełek? Zapewne nie złodziej; bezwątpienia był to ktoś, którego przywabiało światło w oknach Konstancji i który znał dobrze tę drogę, bo musiał ją nieraz już w nocy przebywać.

(d. e. n.)

Korespondencja z Paryża.

Pomimo zadziwiającej czynności mieszkańców Unii amerykańskiej, lud ten dziwnym jeszcze podlega sądom, zdradzającym wielką nieznaną natury ludzkiej. Prawda że ekscentryczność jego przeszła nawet dziwactwo Anglików, że Europa nie posiada dzieci coby dla zabawy kładły się na ziemi pomiędzy szynami kolei żelaznej, aby zakosztować wrażenia z przebiegającej po nad ich głowami lokomotywy z całym pociągiem. W tem leży główny błąd opinii, sądzący ich jako ludzi, porzućmy ociemniające nas zarożumienie, pojmyjmy stanowisko nasze a wnet poznamy na jak kruchej podstawie rozumiemy w tak ważnej kwestji.

Uwaga ta mimowoli mi się nasunęła z przejrzenia raportu delegacji aklimatyzacyjnej o nasionach roślin, sprowadzonych z Meksyku z których niektóre zadziwiająco przyniosły plony. Fasola np. czarna pomimo nieprzyjawnego roku wydała ziarn dwa tysiące, jest to więc plon do jakiego nawet w czwartej części w ojczyźnie swój niedochodzi. Tak pomyślny wypadek niczemu innemu przypisać nie można tylko zmianie warunków, jakie dla jej rozradzania się dostarcza grunt i klimat. Prawo to w przemyśle rolnym znane jest wybornie, i na niem opartą jest potrzeba zmiany nasienia siewnego dziś już powszechnie w gospodarstwie wiejskim używanego. Jeżeli od roślin przeniesiemy się do ludzi, boć i człowiek oprócz życia duchowego i zwierzęcego posiada także i życie roślinne, to przestaniemy się dziwić owej pozornej burzliwości ludu amerykańskiego, i znajdziemy tego wytłomaczone powody.

Według bowiem statystycznych wykazów, z Europy corocznie przesiedla się do Stanów Zjednoczonych blisko cztery kroć sto tysięcy emigrantów różnej na-

rodowości, pomiędzy którymi najwięcej jest Niemców, Anglików i Irlandczyków. Rojna ta ludność, złożona po większej części z osobistości nie harmonizujących ze ściśnieniami europejskich przywilejów, pełną bujnych wyobrażeń i pragnącą leniwo dla nich rozwijający się postęp, w szybszy bieg wprowadzić choćby za dodaniem szalonego koła, dostawia się na grunt nowy, w atmosferę przepętną dziewczęcą wonią otaczających go obszarów, nie dziwnego że zasoby swe moralne w olbrzymia rozrasta i manifestuje się niemi na zewnątrz często dość dziwnie i ekscentrycznie. Coroczny taki kontyngens i to już od lat wielu napływający do Ameryki, nie dziwnego że łącząc się z miejscowymi żywiołami, stwarza jednocześnie i wielkie i małe rzeczy, i takie co wytryska po nad szczyty Kordyljerów i co tarza się w błocie w dolinach przesiąkniętych zgnilizną.

Teatra tutejsze pełne ożywienia ściągają tłumy publiczności, idącej chętnie nawet na sztuki podejrzanej wartości. Największego rozgłosu doznaje sztuka *Froufrou* która teatrowi Gymnase krocie franków przynosi miesięcznego wpływu. Przedstawiony w niem jest żywioł czysto paryżki, jakiego podobno nie znajdzie na całym Bożym świecie, życie bez troski, bez oglądania się na jutro, pełne chwilowych wrażeń, gwaru, błyskotliwych fajerwerków, a tak wabnych i poeńnych jak czarodziejska przepaść ciągnąca do zguby nieogłędnych. Taką to czarodziejkę przedstawia *Froufrou*, unoszącą się niby senne widziadło nad brukiem paryżskiego grodu, nie starzejące się nigdy, nie tracące poeń ani wdzięku które mi przyciąga, i po trzech krzyżkach wieku przepadające gdzieś bez śladu i wieści. A zacie to pocziwe, poświęcające się i kochające bez granic, za każdą drobnostkę wdzięczną aż do bohaterstwa! zmienne jednak i ruchliwe jak błyskawica. Nic więc dziwnego że Paryż tak chętnie biegnie patrzeć na samego siebie. W lustrze nie tylko jednostki lubią się przeglądać ale i całe społeczeństwo, zwłaszcza gdy tak uroczę daje odbicie.

Drugą sztuką co chwilowo zajęła Paryżan, była p. Augier p. t. *Lwy i Lisy* przedstawiona w Théâtre français, nie zasługująca jednak pod żadnym względem na miejsce w którym publicznie się pokazała. Teatr bowiem ten zaleca się szczególną skrupulatnością w wyborze sztuk przedstawianych i gustem prawdziwie estetycznym jaki mu w tem przewodniczy. Gra także artystów jest pełna szlachetności, poszanowania sztuki i nigdy nie przybierająca w pomoc owych sztucznych, nienaturalnych i płaskich środków, jakimi tak chętnie farsa się posługuje.

Rzecz w niej toczy się około bohaterki Katarzyny która pomijana przez wszystkich gdy była uboga, naraz jeden zostaje dziedziczką pięciu milionów. Przynęta ta staje się odrazu pociągającą, zbiega się naturalnie rój konkurentów, nadszkuje, mizdrzy się, stara się bogatą dziedziczkę zwrócić na siebie uwagę i w tem staraniu pokazują się lwy, lisy, nawet szakale i hyeny szczerząc na siebie zęby, grzywy i pazury, gdy widzą że któryś z nich śmielęj i pewniej wyciąga rękę po milionowe wiano. W intrydze dość zawiłej, często grzeszącej smakiem, przewija się na przemian dowcip dość dwuznaczny z cynizmem pełnym obrzydliwości. Zajęcia jednak nie brak ale i oklepanek dosyć się znajdzie.

Wiadomość jaką podaje w zakończeniu, grozi wielką zmianą w przystroju głów kobiecych. Nauka która wszędzie wcisnąć się musi bez względu czy proszona czy niepożądana, opierając się na statystycznych wykazach medycznych, zrobiła postrzeżenie, że skutkiem zatracenia sznurówek śmiertelność kobiet zmniejszyła się o 18 na sto a z powodu ciężkich szynionów i koków, bóle głowy powiększyły się o 73 procent. Fryzjerowie ze skrzywieniem przyjęli tę wiadomość, ale wnet się pocieszyli doniesieniem, iż damy w Nowym Yorku postanowiły w kokach i szynionach nosić włosy siwe a nawet i własne na ten kolor ufarbować. Ta zmiana już niegdyś za pomocą pudru praktykowana, kokom długo nie da upaść a sprowadzi nową zmianę na której naturalnie fryzjerowie najlepiej wyjdą.

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

Prace naukowe Ludwika Figuier.

Znane są powszechnie pożyteczne prace Ludwika Figuier, tak w materji naukowych odkryć i wynalazków przemysłowych, traktowanych w sposób przystępny dla pojęcia młodzieży, jak w opisach tyczących się przyrody we wszystkich jej gałęziach. Przy końcu ostatniego dzieła: *O zwierzętach ssących* zapowiadał autor, iż na konkluzję swoich obrazów natury da nam rzecz o człowieku. Jako wstęp do owego traktatu o królu stworzenia, ukazała się książka badająca człowieka pierwotnego, przedhistorycznego, człowieka w stanie dzikości.

P. Figuier nie rości sobie prawa do innej zasługi nad tę, iż pozbiierał, uporządkował, i zanalizował liczne i najróżniejsze materiały rozrzucone w mnóstwie dokumentów, będących owocem prac i badań wielu znakomitych uczonych swojskich i obcych, i ułatwił pracę następcom swoim, usiłując uczynić metodycznym i jasnym wykład kwestji tak z samej siebie ciemnej i zawiłej, a która mimo to staje w pierwszym rzędzie pomiędzy zagadnieniami cisnącymi się pod rozważę ludzi światłych.

Nie można wątpić iż nowa ta książka pana Figuier, zwróci na siebie jeszcze więcej uwagi aniżeli jego poprzednie pisma o naukach przyrodzonych. Ważne jest zwłaszcza przez pojasnienie o pracach dokonanych w ostatnich czasach, o porobionych spostrzeżeniach i odkryciach. Nie masz może w języku francuzkim żadnego innego dzieła, równie uzupełnionego w tym samym przedmiocie.

Nie zapuszczając się w labirynt bezzasadnych przypuszczeń i nierozwikłanych zagadek, bierze on człowieka z najdawniejszej epoki w jakiej dotychczas odkryto stanowcze ślady jego istnienia. Współczesny mammuta zaczyna od fabrykowania sobie broni z krzemienia, zrazu nieumiejętnie grubo obrabionej, a z postępem czasu coraz bardziej wygładzonej, znać na tych wyrobach doskonalącą się sztukę, i to jest wiek tak zwany kamienny. Tutaj badanie obyczajów, obrzędów religijnych, rozwoju inteligencji człowieka ówczesnego opiera się na zbyt niedokładnych danych, jakimi są jaskinie ze szczątkami kości, tumuli, dolmeny i inne grobowe pomniki, poczytywane przez długie czasy za druidyczne i celtyckie zabytki.

Dalęj w następnych periodach, wynalazek bronzu a zwłaszcza żelaza toruje drogę do cywilizacji. Wieki to długie, może nie stulecia ale tysiące lat obejmujące, zanim dojdziemy do czasów historycznych. Jest-że możliwem doszukać się prawdy w pytaniu, czy przez ten niezliczony poczet pokoleń jaki nas od protoplastów naszych dzieli, typ ludzki o wiele się zmodyfikował? I owa sławna szczęka, i czerepy czaszek w pieczarach Engis i Neanderthalu poznańdowane, wystarczające dla zuchwałych nieustraszonych architektów którzy na koniuszczku igły budują, nie mogą być podstawą poważną dla nauki w jej dzisiejszem pojęciu. A zatem pole do przypuszczeń tylko otwarte. P. Figuier nie godzi się bynajmniej na teorie Darwina i wierzy w niezmienną gatunków, zdaniem jego człowiek fizyczny nie wiele się dziś różni od tego jakim był w początkach. Tembardziej stanowczo odrzuca doktrynę jakoby to arcydzieło stworzenia było po prostu odmianą małpy. Jeżeli człowiek jest tylko orangutaniem udoskonalonym, ugodnionym gorylem, w cóżby się obróciła godność człowiecza w imię której tyle dziś żądamy. Czyż jakieś zbliżenie w budowie kości i czaszki mają upoważniać do wyrokowania o podobnem pochodzeniu rodzaju ludzkiego? Można by także porównać nasze wnętrze do kocich, lwich i tygrysi, a uderzające podobieństwo każe uznać iż człowiek pochodzi od tygrysa, że jest tylko lwem udoskonalonym, kotem zamienionym w człowieka. A więc widocznie wszelkie anatomiczne dowodzenia nic nie dowodzą. Alboż człowieka stanowią jedynie kości, a nie nie znaczy władza inteligencji której objawem słowo? Rozum i mowa, oto główna część istoty człowieka, przez nie jest on najdoskonalszym we Wszech stworzeniu jedynym wyjątkiem obdarowanym, uprzywilejowanym dziełem Stwórcy. Niech która małpa przemówi, powiada Figuier, a uznam iż jestem szympansem edycji prz-

ściowej i poprawionej. Na to darwinista mógłby odpowiedzieć, iż trudno dowieść, ażali człowiek pierwotny mówił, i miał rozum i przemysł wyższy od zwierzęcego, i że sam pan Figuiier przyznaje, iż we względzie moralnym nie wiele się przedhistoryczny człowiek od bydła różnił. Wszakże znajdujemy dziś jeszcze ludy nie tylko w zwierzęcej dzikości stanie, ale nawet brakiem instynktu, głupotą, stłumionym fizycznym rozwojem, brzydotą, niższe od bardzo wielu zwierząt, a jednakże i te istoty upośledzone przez naturę czy przez swoje położenie i odosobnienie od postępującej ludzkości, dar mowy posiadają, nie ma zatem podstawy do przypuszczenia, iżby przy innych warunkach nie zdolne były do podniesienia się w godności ludzkiej, do rozwinięcia się umysłowego, a złąd i fizycznego wydoskonalenia i wypięknienia. Gdyby niemowlę z tego szczepu było wychowane w europejskim otoczeniu, a co może jeszcze ważniejsze odjęte z pod przyniatającego wpływu klimatu i miejscowości, jest-że wątpliwem, iżby dorosły podniosło się nad bydlęcność swoich ojców, że uczyłowieczeni jego potomkowie o parę pokoleń później, w korzystnych warunkach rozrodzeni i wychowani, pozbyliby się przynajmniej do pewnego stopnia cechy umysłowego niedołęstwa i szpetności ciała, którym ród ich od wieków napiętnowany. Tymczasem mała pa o ile wiadomo, z pewnością przez tysiączne pokolenia jest zawsze małą, tak w lesie, jak w długim i ścisłym zetknięciu z najucywilizowanym społeczeństwem.

Argumentacje pana Figuiera podpierają jeszcze wyjątki z obszernego rapportu pana Quatrefages o postępie antropologii. Uczony naturalista zwraca uwagę, iż znamię specyficzne człowieka jest poczucie religijne, to jest władz wierzenia w porządek rzeczy nadnaturalny. Wiadomo iż człowiek historyczny jest religijny. U ludów najdzikszych, najciemniejszych, u ludożerców nawet są jakieś ślady pojęć o życiu przyszłym; i coś podobnego do obrządku. Jakież pod tym względem wnioski robić można badając owe w wieczną pomrokę zapadłe perjody? Pan Edw. Dupond mówi o znalezieniu w grobowych jaskiniach w Belgji, wielkich kości słonia kopalnego ułożonych na okół ogniska. Podobny sposób obstawienia jaskiń kośćmi przechowuje się jeszcze u Indian jako religijny obyczaj, i zdaje się być niejako wskazówką pojęć tego rodzaju.

Dzieło *Człowiek pierwotny* p. Figuiera, w pięknym wydaniu, ozdobione jest mnóstwem rycin doskonale wykonanych, wyobrażających różne przedmioty z kamienia, z brązu, i t. d. zabytki z najpraszniejszych ludzkości wieków. Do tych okazów autentycznych, fantazja dołączyła 30 pięknych obrazów, są to przypuszczalne sceny z życia człowieka pierwotnego.

Mówiąc o życiu zamierchłej starożytności nie od rzeczy będzie nadmienić, iż towarzystwo uczonych którzy z okoliczności zjazdu w Suez odbyli podróż nad brzegi Nilu, przesyła Akademji Nauk w Paryżu sprawozdanie z odkryć szczątków z kamiennego wieku w Egipcie, co tem jest ważniejszem, iż istnienie podobnego perjodu w tamtej okolicy było dotąd zaprzeczane przez egiptologów. Znalezione niezliczoną mnogość krzemieni wyrobionych, rozrzuconych po ziemi na przestrzeni około 350 stóp kwadratowych. Są to znane typy, podług przyjętych nazw, ostrza lanc i strzał, siekiery, noże, itp. widocznie pozostałości fabrykacji odwiecznych, prawdopodobnie przedhistorycznych. PP. Balard, Quatrefages, Broca i inni, obecni temu odkryciu, sprawdzili pracowitość tych okazów i podobieństwo ich z zabytkami wieku kamiennego w Europie. Powiększą one zatem bogate i ciekawe muzeum najodleglejszej starożytności w Saint-Germain en Laye, a które z zajęciem oglądane było na Wielkiej Wystawie Paryskiej w dziale postępu pracy.

Gor.

O UBIORACH.

Rok parzysty 1870 od samego początku, rzeczywiście kojarzeniem par się odznacza. Nigdy o tylu już zawartych i zawierających jeszcze mających małżeństwach nie słyszeliśmy może, co w obecnym karnawale. Do którego bądź zajęć magazynu, wszędzie niemal około ślubnej wyprawy krzątania i zajęcia.

Tylko co opis jednej ukończyliśmy, a tu znowu druga, równie piękna i wytworna oczom naszym podpada.

Piękny fason sukien, pełne fantazji wykończenie ich i ozdoby, a nadewszystko sumienne i bardzo umiarkowane ceny w niezbędnych dodatkach i robocie liczone, zniewalały nas aby polecić zakład pp. Siarczyńskich od kilku lat na Krakowskim Przedmieściu pod N. 431 istniejący, względem czytelniczek naszych, a w którym to właśnie powyższą wyprawę, wykończoną z prawdziwym pojęciem dobrego i dystrygowanego gustu, oceniliśmy mieliśmy sposobność.

Ślubna suknia z białego atlasu, z wielkim trenem, miała spódnicę z tuniką, która z przodu odznaczona w dwa śpiczaste zęby, kończyła się w tyle w dwa duże liście.

Szeroka na rękę jedwabna blondyna ubierała ją do koła. Świeża i leciuchna berta z bufek illuziowych i atlasowych ruloników złożoną i gęstym neżykiem na wykroju samym oszytą, spinał bukiet okrągły, a piękna wielka kokarda z atlasu białego, kończyła ubranie bardzo wyciętą staniczką.

Welon z tiulu illusion à la Rachel, przytwierdzono do włosów symbolicznym z mirtu i kwiatu pomarańczy uwitym wianuszkami.

Druga suknia z mory antique koloru lapis, bardzo powłoczysta, przybrana była tuniką raczej kamargo w trzy piękne upiętą festony, zdobną z dubeltowego atlasu ruszą i bogatą kordonkową frendzlą, która również fantazyjną do tyłu przeznaczoną kokardę, dekoltowany staniczek i krótkie rękawki ubierała odpowiednio.

Jednakowo piękna i wykwintna była suknia poult de soie, prześlicznego błękitnego koloru; podwójne staniki różne jej przeznaczenia dać mogły. Otwarta z przodu tunika, duże zęby na bokach tworzyła, łączyły je z sobą dwie wielkie płaskie kokardy białym atlasem objęte; takąż sama kokarda, sucięj tylko atlasem ubrana spinała pasek. Plisy białe i niebieska pasmanterja, dodając niezmiernego stroju powyższej toalecie, bardzo ją świetną czyniły. Stanik wysoki en coeur wykrojony, tak samo przybrano, bufka zaś z białego atlasu obejmowała wycięty staniczek, na którym niebieska pasmanterja rodzaj berty formowała.

Suknia czarna atlasowa miała także dwa staniki, obadwa aksamitem i frendzlą kordonkową ubrana. Aksamitna woda szeroko na wygorsowanym przyszyta była staniczku.

Garnirunek spódnicy stanowiła krótka tunika w trzy udatne liście udrapowana i niezeszyta na przodzie, małe okrągłe ząbki dopełniały przednie liściaste zęby, jakby kryjącą się pod tuniką baskinę zdradzały. Dużych rozmiarów aksamitna kokarda i takież pasek, ukończały przybór tej sukni.

Najskromniejsza wizytowa suknia zrobiona była z francuskiej materji popielatej w czarne paseczki. Stanik pod szyję ubierała w zęby aksamitka piękna Chantilly oszyta. Zręczny puf w tyle, tworzyły trzy szerokie niedługie końce w kształtną związane kokardę.

Oprócz tej wyprawy pokazywały nam pp. Siarczyńskie inne u nich wykończone toalety, które niejednę może z czytelniczek naszych, posłuży jako wzór do naśladowania, dodając świeżego gustu i nową fantazji w przybraniu odmiennem raz już użytej balowej sukni.

Jedna z nich swoją prostotą i wdziękiem szczególnie nam się podobała.

Na różowej muślinowej spódnicie z białego tarlatanu naszyta była dwiema mocno marszczonymi falbankami równo pod nitkę ciętymi, falbanki te okalały dół spódnicy, za niemi w pół okrąg szły trzy, w pewnej odległości od siebie dawane falbany, atlasowym rulonem przytwierdzone, które cały bryt przedni stroiły, takąż sama falbana ubierała od samej góry tył sukni, formując jakby płaszcz dworski; różowe kokardy na ramionach kończyły śliczną bertę, całą z tarlatanowych neżów i falbaneczek złożoną do której dochodziły prawie obite zwoje pięknej różowej szarfy, szerokimi dopełnionej końcami. Wiązankę różyczek polnych we włosy przeznaczono.

Druga podobna wystrojem swoim suknią, jeszcze lżej i powabniej wyglądała. Cała bowiem biała, cała jedynie z tarlatanu i na tarlatanie żadnej innej nie miała ozdoby; tarlatanowy pasek, ruszami garnirowaną kokardą zakończony z tyłu, spinał z boku mirtowy bukiet, godło ostatniego dziewczęcego stroju. Stanik bluzkowy za całą ozdobę miał około szyi ru-

szę tarlatanową, także same rusze kilkakrotnie ubierały długie rękawy.

Złota atlasowa suknia była cała przybrana drogocennymi czarnymi koronkami, w oryginalny i zupełnie niezwykły sposób naszytymi w tyle. Fartuszek okrągły na przodzie, którego bogaty deseń, bardzo się pięknie odznaczał na jasnym tle spódnicy, sięgał boków zakończony trzy puklowemi kokardami z czarnego aksamitu. Od nich szła szeroka listewka, podwójnie, zupełnie gładko naszyta środkiem tylnego bryta, zeszycie jej pokrywało siedem czarnych wielkich płaskich kokard, a ostatnia miejsce szarfy zastępowała. Bertę czarną przepinały na ramionach i piersiach odpowiednie, bardzo udatnie związane kokardy z dłuższymi nieco końcami, także same kokardeczki rozrzucono w odstępach na całym wykroju stanika.

Zielona poult de soie suknia wystrojona białym atlasem i białą koronką, z wielką fantazją upiętą, miała tunikę. Polysk białego zdobiącego ją atlasu i bogata koronka zręcznie bez przesady użyta, piękną całość tworzyły.

Na zakończenie jedną jeszcze skromniejszą opisemy suknią, wykonaną z niebieskiego jasnego poult de soie. Spódnicę u dołu miała trzy miernej szerokości falbanki wystrzyżone w ząbki. Na nią spadała tunika otwarta i formująca dwa kwadraty na przodzie zdobne falbanką, ruszą jedwabną zakończoną. Bryt tylny mocno na bokach zmarszczony, podpięty był z tyłu jedną wielką rozetą na tunice i drugą mniejszą już na staniku przyszytą. Takie same falbanki bertę formowały z pod której wychodząca świeża illuziowa bufka w niebieski rulonik ujęta, ślicznym dopełnieniem była.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszwego.

N. 19 i 20. Dwa medaljony na haft kolorowym jedwabiem.

Medaljony takie dają się jako ozdoby rozmaitych drobnostek; podajemy dwa desenie które wyhaftować można, najrozmaitsze łącząc z sobą cienie.

N. 21. Szalik kaszmirowy z haftowanemi medaljonami i frywolitkową frendzlą.

Na medaljony, które się zwyczajnym ścięciem atlasowym wyszywają, podaliśmy pod N. 19 i 20 osobne zupełnie desenie; wrabiają się one w materiał samym, z dodaniem łatwego szlaczku w około, albo na osobnym zupełnie kawałku materji przyszyte jako aplikacja. Frendzla oszywająca zaokrąglone końce, robi się z frywolitek obciążonych kwaściami.

N. 22. Krawatka na drutach.

Materiał: 2 luty białej angielskiej włóczki 2—3 motków białej filozeli, i 2 białe sznuklerskie guziki z pętlkami.

Nałożwszy na zwyczajne druty 210 oczek, w kółko zamkniętych jak u pończochy, robi się je gładko na prawo, póki włóczka zupełnie się wążko nienłoży. Później robią się na tem pasy; dwa oczka drutowe zdejmują się ściśnięciem oczkiem z drutów na szydełko, dwa po nich najbliższe spuszcza się do dołu, przeraabiając jednocześnie 2—3 powietrznych oczek. Tym sposobem utworzą się pasy w zupełnie równych odstępach. Na frendzlę, pozostaje 14 nieoblańcuszkowanych oczek, które się przez środek rozcinają. Oczka te rozdzielają się pojedynczo aż do ostatnich 2—3 oczek, stanowiących brzeg. Ozdobivszy fańcuszkiem białej filozeli, ściśnięte paski szalika po lewej stronie, związa go się przez całą długość z obydwóch brzegów ku środkowi. Frendzla ozdabia się kwaściami filozeli; guziki z pętlkami i baryłką, stanowią zapięcie.

N. 23. Serweta na kanwie „Jawa“

Choć rycina jest bardzo pomniejszona, można różnie deseni wyszyć grubym jedwabiem w różę, które wyrobione krzyżykami „Smyrna“, pięknie odbijają od tła koronkowego niby s luku, jak to wyszyta cienkim jedwabiem krata naśladuje. Na brzegi użrwają się oba gatunki jedwabiu: frendzla mocno obdziergana, wyciąga się w samej kanwie.

N. 24 i 25. Dwa garnirunki do sukien.

N. 24. Garnirunek w zęby.

Garnirunek ten różnej wielkości przedstawiony pod N. 24 w naturalnych rozmiarach wymaga paska

8 cent. szerokiego, który się w 3 1/4 cent. głębokie zęby wycina, tamuje atłasku tego samego cieniu i kontrafakduje. Ponad zębami idzie 2 cent. szeroka atłasowa listewka, z wypustkami bez sznurka.

N. 25. Garnirunek plisowany.

Garnirunek ten wzięty od sukni ryc. 11 ma u dołu z ukośnego materiału układane i zaprasowywane fałdy, które się dla trwałości u dołu po lewej stronie mocno fastrzygują; równomiarowe kontrafakdy górnej części, przytwierdza odpowiednia aksamitka.

N. 26. Dwa paski wyszyte na skórze do N. 37.

N. 27. Deseń w kwadraciki na kanwie.

Na pantofle, torby, etc.

Każdym cieniem odrabia się kwadrat z 8 krzyżyków, które zapełniają po 4 dziurki kanwy w kwadrat. Na modelu przedstawionym idą na przemian dwa rzędy czerwone i zielone, fioletowe i popielate, tak żeby się zawsze stykały popielaty kwadrat z czerwonym, a zielony z fioletowym. Luźny czarny ścieg, odznacza środek każdego kwadratu, krzyżyk żółtego kordonku wyszywa się na rogu.

N. 28—29. Okrągłe tiulowe pokrycie na meble. Aplikacja sutaszem lub łańcuszkiem.

Z magazynu P. „Sajou“ w Paryżu N. 52 ulica Rambuteau. Kontury batystowych aplikacji przytwierdzają się sutaszową plecionką na grochowym tiulu, którą najlepiej położywszy pod spód papier, przystembnować na maszynie, albo przyszyć łańcuszkowym ściegiem. Rozmaite wyszycia na tiulu, które rozróżnić można na ryc. 29 dają się dopiero jako wykończenie, po odrobieniu wszystkich aplikowanych deseni. Ozdoby te wymagają cienkich glansowanych nici.

N. 30—31. Dwa futeraliki do obwiniecia podarunków imieninowych dla dzieci.

Materiał. Karton—resztki włóczek i kanwy.

Dla powiększenia niespodzianek, jakie zwykle dzieciom robimy na imieniny, podajemy dwie następujące ryciny, kryjące w środku dosyć dużą próżnię do pomieszczenia podarunku.

N. 30. Paczka włóczkowa do obwiniecia podarunku dla dziecka.

Puste pudełeczko tekturowe z przykrywką, w którym się kryje podarunek dla dziecka, pokrywają z wierzchu pasma różnokolorowej włóczki, jedwabną przewiazane wstążką. N. 30 przedstawia rulonik otwarty z podwójnej tektury mniejszy lub większy stosownie do potrzeby, 4 cent. szeroki a 13 cent. długi; przy końcach tak trzeba urządzić, żeby wierzchni rulonik tektury wystawał na 1 cent. od wewnętrznego, dla lepszego umocowania dna i wieczka. Te ostatnie, składają się z płaskiego, 4 cent. dużego kółka, otoczonego, 1 cent. szerokim paskiem przyszytym lub przyklejonym, do brzegu którego u góry, przymocowywują się pasma włóczki, odpowiednie cieniami z całością, 2—3 cent. długie, przez co jest lepsze złudzenie. Jedno z tych kółek jako denko przykleja się do pudełka, drugie jako przykrywkę zakłada się.

N. 31. Futeralik na podarunek dla dziecka.

Pudełeczko tak samo odrobione jak wyżej opisane, ma z wierzchu nawiniętą jakąkolwiek robotę. Pudełko takienapełnione cukierkami, może być nawet zachętą dla małej dziewczynki, która się dopiero uczyć zaczyna ręcznych robótek.

N. 32—34 i nr. 1—2. Umieblowanie pokoiku dla lalki.

Materiał: Karton, tektura, drut, drewniane druty, wata, ryps welniany, kolorowy jedwab, welniana tasiemka, złote paciorki etc.

Nadzwyczaj łatwe wykończenie tych mebelków, zarówno idzie prędko jak bez trudu. Podstawy przykrawają się z grubiej tektury i składają z pojedynczych, razem zeszywanych części, jak to objaśnia mała rycina 33 i 34. Brzegi otaczają się w koło sztywnym drutem. Nóżki naklejone dają się z drewnianych drutów koloru brązowego. Pokrycie Kanapy i krzesła z brązowego rypsu, ozdabiają się brązowym lub złotym sznurem, brązowym burcekiem i złotymi paciorkami; stół obciąga się z wierzchu marmoryzowaną ceratą. Sofa z oparciem wygiętem z tyłu, wymaga kawałka tektury 24 cent. długiego; w samym środku 16 cent. wysokie oparcie, wykrawa się podług ryc. 32 tak, żeby odliczywszy prócz

środkowego dwa inne zęby, poręcz zniżała się ku przodowi do 8 cent. tylko. Przód, 5 1/2 cent. wysoki i zupełnie prosty liczy 22 1/2 cent. długości, czyli zupełnie tyle ile siedzenie, zaokrąglone i wynoszące w tyle 9 cent. głębokości. Tylne oparcie drutem najpierw oszyte, odznaczoną na linję ołówkiem, do której powinno dotykać siedzenie, i kwadraty dane na pokryciu, pod spód poddaje się cokolwiek waty żeby uformować wypukłość, i przytwierdza paciorki w tych miejscach, gdzie naznaczono kwadraty. Siedzenie także się podwatowywa, i pokrywa rypsem razem zczepioną ścianką prostą od przodu, poczem wszystko spoić należy z oparciem. Dość szeroki burcik, paciorkami przyszyty, zdobi przód przez środek, sznur zaś, podług wskazówek ryciny 32 przytwierdzony, nadaje pozór wykończenia. Na rogach przednich i w środku oparcia, umieszczają się 4 cent. długie nóżki z drewnianego druta, wsunięte w dziurki w tekturze przebite; w nóżkach trzeba też u góry poprzepalać dziurki i przesyć je mocnymi niemi wraz z materiałem, żeby się nieruszały. Fotel przyrządza się zupełnie tak, jak kanapa. Oparcie jego 16 1/2 cent. długie, liczy w samym tyle 14 cent. wysokości, w ząb także wycięte, dochodzi na przodzie 6 cent. tylko prosty pasek na przodzie, ma 4 cent. szerokości, 7 1/2 cent. długości, siedzenie, w środku zagłębia się na 5 1/2 cent. Kwadrat krzesła wymaga 5 1/2 cent. dużego kawałka tektury na siedzenie, do którego przykleja się 1 1/2 cent. szeroki pasek formujący ostre kąty i oparcie, 10 cent. w środku wysokie i zaokrąglone. Podwatowawszy cokolwiek siedzenie i oparcie, pokrywa się wszystko razem rypsem, podług ryciny 32 jak sofę i fotel. Nóżki, przykrojone z końców druta drewnianego, 6 cent. wysokie można po prostu nakleić. Stół przedstawiony pod N. 33 z wierzchu a pod N. 34 ze spodu, wymaga tekturowego blatu 13 1/2 cent. długiego, a 9 1/2 cent. szerokiego, który się okala przyszytym 2 cent. wysokim brzegiem, oklejonym brązową ceratą. Nogę 10 cent. długie, przykleja się, jak u krzesła. Owal dany na wierzchu, 19 cent. długi, a 12 1/2 szeroki, okleja się brązową ceratą, lamuje czarną plecionką i przykleja na wyżej wspomnianym blacie. Owalna poduszka przed fotelem wymaga na podstawę, 6 cent. długiego; a 44 cent. szerokiego owalu, otoczonego w koło 2 cent. wysokim brzegiem; wypchana watą na wierzchu, oszywa się rypsem. ozdobionym w środku kwiatem z pasowego sukna, żółtymi ściegami i zielonemi jako liście przytwierdzonym. Rusza z gładkiego kawałka materiału, naszyta paciorkami, otacza brzeg naokoło. Odpowiednio tej poduszce, przybrana jest na czterech rogach serwetka, stół pokrywająca, 29 cent. długa, a 24 c. szeroka. Tło jej rypsowe, zakończy u dołu wysiepana frendzla, żółtymi ściegami wyszyta. Podróżka biała alpakowa 8 cent. duża, ma także kwiat na środku i narożniki, wyszyte sutaszem, a w koło riuszę z odpowiedniej wstążeczki. Wałek zawieszony na fotelu 8 1/2 cent. długi, alpakowy biały, ma ukośne pasy kolorowym jedwabiem wyszyte. Kwasty i sznury są także z kolorowego jedwabiu.

Okrągła poduszka z brązowego atłasu, wyszyta zamiast paciorkami, guzickami kolorowymi liczy 5 cent. na wielkość a 1 na grubość; w koło ma kolorową frendzlę. Białe serwetki na stole i kanapie, robią się z frywolitkowych rozetek o 6 zamkniętych pętelkach z 9 pikotami, przedzielanemi 1 pod. węzeł. w środku jest kółko z 12 pod. węz. i 6 pik. Środek tego szlaku, stanowi 5 i pół cent. duże płóciennne kółko wydziergane białe, z czarną gwiazdą i takimże brzeżkiem.

Dywanik pod meblami leżący, czarny pluszowy, otacza w koło szlak kanwowy o trzech rzędach krzyżyków, na który podajemy osobny deseni. N. 1 i 2 przedstawia jeszcze dwa narożniki na serwetę i poduszkę, których deseni służyć może na całe wyszycie opisanych mebli.

N. 35. Młynek zawierający centymetralną miarę, jako zabawka dla dzieci.

Młynek ten składa się z czterech ścianek papierowej kanwy, wyszytą jedwabiem podklejoną białym papierem, które się razem zczepia. Spód i wieczko dają się z podwójnego pokładu kanwy, wystającego jeden z pod drugiego. W środek wstawia się miarka wysuwana w pośrodku której, umieszczony jest zakrzywiony pałączek z lakową gałeczką, tak w miar-

ce drucikami przetkany, żeby ją obracał. Koniec miary przeciąga się przez wycięty w ścianie podłużny otwór. W górze daje się mocno przyczepiona tutka papierowej kanwy zwinięta i w kółko zeszyta; wstążki służą do zawieszania młynka.

N. 36. Orzech włoski do ozdoby choinki dla dzieci.

Orzech ten doskonale wyskrobany w środku, z wierzchu smaruje się „Copallakiem“ i opatruje do przewleczenia wstążeczek 4 przedświdrowanemi dziurkami u każdego końca. W środku łupinek, znajduje się odpowiednio duża siateczka z kolorowego jedwabiu, zawierająca jaką niespodziankę: złoty pierścieneczek, monetę złotą lub naparstek. Siateczka składa się z 30 oczek przerobionych na grubym drucie, przez 15 rzędów oczka tego paska z jednej strony zbierają się i zamocowywują. Przecignięta na dwa rzędy wstążeczka u góry siateczki przeciąga się przez 4 górne dziurki w łupinie, przez co ta ostatnia łatwo się zamyka i otwiera.

N. 37 i 26. Teka do książek dla małej dziewczynki.

Wyszycie na skórze. Ręka matki tak chętnie przysposabiająca różne zabawki dziecięcom, chętniej jeszcze podejmie się wyszycia teki, która przyucza starsze już dziewczynki do porządnego utrzymywania kajetów i książek. Model z szagriny skóry ozdobiony wyszyciem z karbowanego sznura, kordonku i złotych nici, które się wrabiają znanym sposobem na wyklutym w dziurki deseni. Rycina 37 doskonale daje wyobrażenie wyszycia, które można przenieść także na rypsie, aksamicie i t. p. Wprawna ręka łatwo potrafi desień przerysować, powiększyć i wykluć na skórze. Cyfra robi się atłaskiem.

N. 38—43. Ubrania dla dzieci i panienek.

N. 38. Ubranie dla chłopca od 2—5 lat.

Ubranie to złożone z gładkiego staniczka z długimi rękawami i fałdowaną spódniczką, robi się z jednokolorowego ciemnego materiału, lub czarnego aksamitu dodając wypustki, guziki i szarfę na boku związaną w kokardę, z kolorowego materiału. Szeroki biały płócienny marynarski kołnierz, można podwijać wązkim kolorowym krawatem. Krótkie kolorowe pończochy i niskie czarne buciki dopełniają całości.

N. 39. Ubranie panienki od 10 do 13 lat.

Kostium ten składa się ze spódniczki alpagowej w białe i niebieskie pasy, z falbaną u dołu objętą niebieskim atłasem; rękawy zwężone przy ręku mają falbankę atłasem przybraną, podobnie lamowana jest strojna szarfa, która przy większym ubraniu zastępuje atłasowa. Rusza podłużnie przyszyta na staniku, dopełnia całości. Fartuszek czarny jedwabny w kliny, garniowany ruszą.

N. 40. Ubranie chłopca od 1 — 2 lat.

Sukienki chłopców małych niezem się nie różnią od sukienek dla dziewczynek. Model ze szkockiego materiału. spina się na gładkim staniczku ukośnie, co pokrywa przybranie zakończone szarfą, nadające charakter szkockiego kostiumu. Sukienka, ozdabia się pliskami, ruszą, guzikami i ząbkami z ukośną lamówką. Krótkie pończochy oszywają się także rąbeczkiem szkockim; buciki są czarne.

N. 41. Ubranie dziewczynki do 8 lat.

Sukienka z niebieskiego kaszmiru z kwadratowym wycięciem ma z wierzchu popielatą alpakową tunikę z pojedynczych części złożoną, lamowaną pliskami i ozdobioną kokardami.

N. 42. Ubranie panienki od 13 — 16 lat.

Kostium ten urządza się z rozmaitych materiałów jedno kolorowych, mieszanych, w rzucik albo w pasy. Model przedstawia spódniczkę jednokolorową z falbankami i ruszami, na której idzie tunika z wyciętym staniczkiem i bufkami z materiału w pasy, ruszami i kokardami przybrana.

N. 43. Ubranie dziewczynki od 3 — 8 lat.

Sukienka z wysokim stanikiem, przybrana ciemniejszą falbaną i ruszą, która odznacza także szelki na staniku.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszy z drzeworytami i kroje.

N. 1—2. Dwa narożniki do ryciny 32.

N. 3. Strojny czepeczek dla starszej osoby.

Czepeczek ten uzupełniony stosownie do potrzeby rodzaju siatki z jedwabnego tiulu w rzucik, bardzo wygląda strojnie przez naszyjnik, od

którego blondynowa barba spada. Całe urządzenie czepeka, wymaga wąskiego czółka ze sztywnego tiulu, który się pokrywa blondyną, tiulem, aksamitką, atłasową lub mantynową wstążką, dodając do większego stroju bukiet kwiatów.

N. 4—5. Dwa zimowe kapelusze, z magazynu p. Joly w Paryżu.



N. 4. Kapelusz z naszyjnikiem „à l'antique.”

Dodanie modnych barb i woali stanowi ciągle najświeższe ubranie kapeluszy.

N. 4. Kapelusz z naszyjnikiem „à l'antique.”

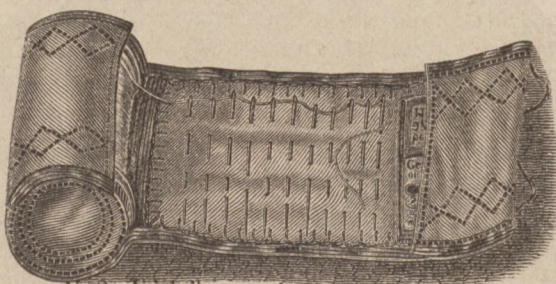
Kapelusz małej fanszonikowej formy, obciągnięty gładko aksamitem, z dodatkiem koronek i kwiatów, ma w górze wystający diadem. Podwójną płską objęta koronka, otacza dolny brzeg kapelusza, i prze-



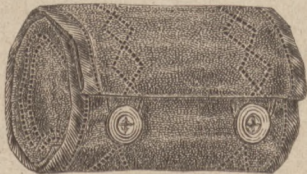
N. 3. Strojny czepeczek dla starszej osoby.



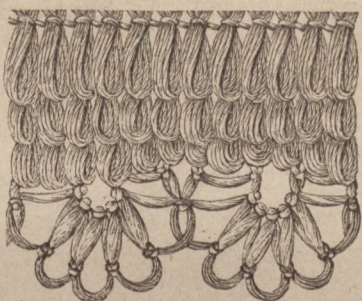
N. 6. Włózkowy czepeczek.



N. 8. Igielnik z nawleczonemi igłami. Otwarty.



N. 9. Igielnik N. 8. Zamknięty.



dłuża się w rodzaj barby, formującą z przodu ubranie „à l'antique”. Krótkie aksamitne końce, związane pod brodą, korzystnie odbijają od twarzy.

N. 5. Kapelusz z woalem.

Kapelusz ten obciągnięty gładko kolorowym aksamitem, i czar-

N. 2. Narożnik do ryciny N. 32.

nemi piórami przybrany, ozdabia woal z jedwabnego czarnego tiulu w rzucik, założony podług wskazówek ryciny.

N. 6—7. Włózkowy czepeczek. Robota na drutach i siatka.

Materiał: 2 luty białej angielskiej włóczki, trochę białej włóczki, 2 motki pasowej filozeli.

N. 5. Kapelusz z woalem.

Czepeczek ten, przedstawiony pod N. 6 robi się z podwójnie składanej włóczki w trzech oddzielnych częściach; szczegółowy opis roboty na drutach, w rodzaju spadających pętelek jako powszechnie znany pomijamy; zastrzedz jednak trzeba, żeby za każdym razem obwijać palec po dwakroć, a że włóczka się składa podwójnie, wypada więc w każdej pęteli po 4 nitki. Ząb wystający nad czołem, wynosi w podłuż do tylnego brzegu licząc, 25 cent. w poprzek, przy zaczęciu trzyma 5 cent. rozszerzając się aż do



N. 10. Suknia z tuniką garniowaną.



N. 11. Ubranie stanika z paletotową baskiną.

N. 7. Robota czepeka N. 6 z siatkowym szlaczkiem.



N. 13. Wyszywany Szlaczek do N. 12.

18. Zaczynając od prostego brzegu tyłu nabiera się 65 oczek, na tem robi się 8 rządków pętelek, bez przybierania, następnie na końcu każdego dalszego rządka, zdjęt jedno oczko należy, przez co po 25 rządkach pętelkowych pozostaje na zab jeszcze 15 oczek, które przy oblańcuszkowaniu barpo wąsko wydać się powinny. Każda z barbek do poprzecznego brzegu denka przyszyta, liczy 14 oczek i 36 rządków pętelek. Na szlaczek siatkowy nabiera się podwójnie oczka, przez co powstają 2 niby rzędy nabieranych oczek; szlak ten z białej angielskiej w 6 oczek na drewnianym wałeczku obrabia się jednym jeszcze rządkiem pasowej filozeli i z dobi brzeg przedni czepeczka. Szlaczek w zęby ubierający brzeg w tyle, również filozelą zakończony podajemy w małej próbie pod N. 7 gdzie zamieściliśmy także trzy rządki pętelek w naturalnej wielkości.

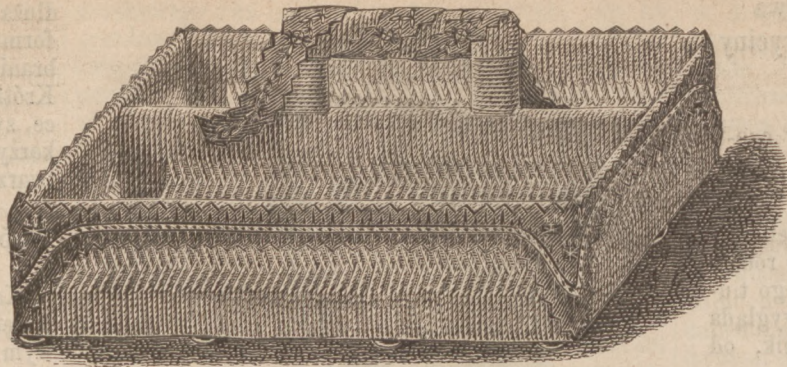
N. 19. Medaljon haftowany kolorowym jedwabiem.

Na marszczone rozety do czepeczka 8 cent. średnicy liczące, trzeba 1 rządek angielskiej; włóczki na 2 cent. szerokiej deseczki siatką odrobionego, i zakończonego rządkiem filozeli na drewnianym wałeczku. Wszystkie oczka tego, 100 cent. długie go paska, nawłóczą się na nitkę włóczki i ściągają tak, żeby utworzyły powyżej przedstawione rozetki.

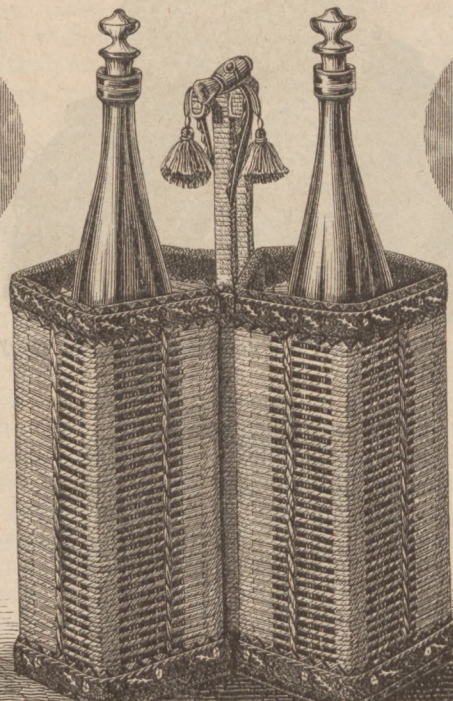
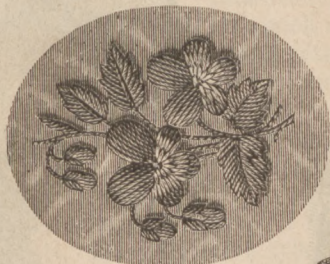
N. 8 i 9. Igielnik z nawleczonemi igłami.

Materiał: Popie late niebielone płótno, koloro wa materia, 38 cent. takiejże wstążeczki szerokiej 1 cent.

Igielnik taki przedstawiony pod N. 8 i 9 otwarty i zamknięty, stanowi użyteczny podarunek dla osób starych, którym trudno już nawlekać igły; zamykany na dwa guziki i jedwabne kolorowe pętelki, wymaga prostego paska, popielatego płótna, 20 cent. długiego, a 5 szerokiego, który się stembnuje kolorowym jedwabiem w kwadraty, podszywa odpowiedniego cieniu materia, i lamuje w około wstążeczką. Jeden koniec paska, zaszywa się na 3 cent. jako kieszonka do wsuwania papierków z igłami, drugi



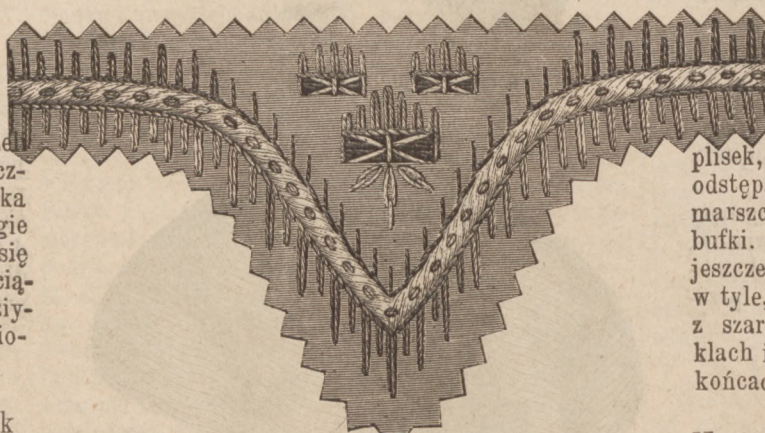
N. 12. Koszyk deserowy na sztucce.



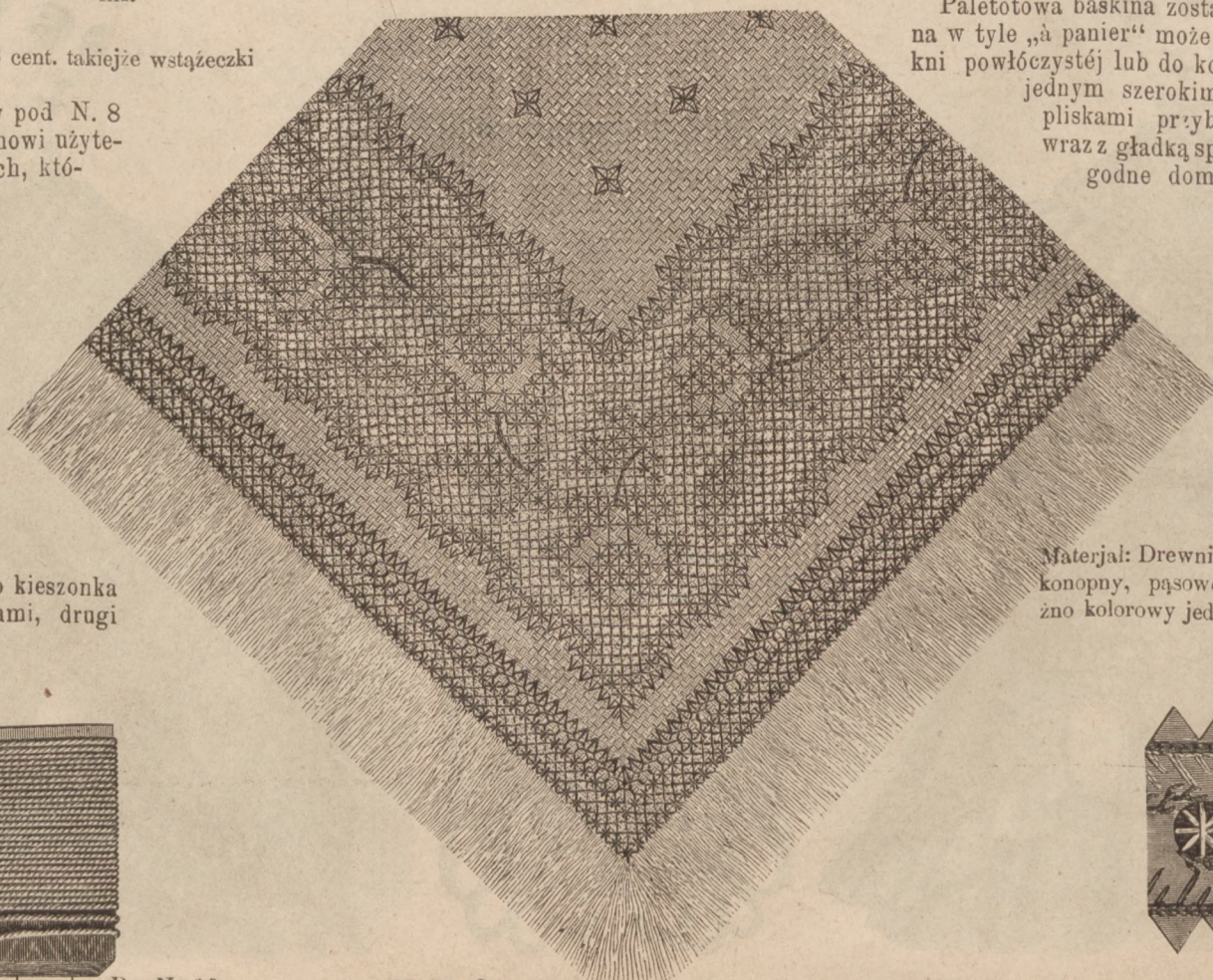
N. 17. Koszyk na butelki. Ręczna robota.



N. 20. Medaljon haftowany kolorowo.



N. 15. Narożnik wykładu koszyka. Do N. 12.



N. 14. Wyszywany szlaczek do N. 12.

koniec, opatruje się wystembnowaniami, 2 1/2 cent. dużemi denkami do przechowania rolki z niemi, zostawiając 1 centy. szeroki otwór do otwierania igielnika. Srodek igielnika ma kawałek przydzierganęj białej flaneli, w którą się wpinają jedną nitką z rolki nawleczonych igły. Mając znaczny ich zapas biorąc zawsze jedną z tak długą nitką jak potrzeba, można długo szyć bez obcej pomocy.

N. 10. Suknia z garnirowaną tuniką.

Z magazynu „Coin de rue“ w Paryżu przy ulicy Montessieu.

Stosownie do użytego materiału, może być suknia urządzona jako kostium lub wieczorowa powłóczysta, do której przy tunice, dodaje się długa albo krótsza nieco szarfa w tyle. Na spódnicy z szarfą która także zupełnie może być gładka, daje się u dołu jedna duża, lub kilka małych falbanek razem, lub pojedyn-

czo w odstępach naszytych. Można dać również nad górną falbaną, garnirunek jak na tunice, złożony z trzech

plisek, które w pewnych odstępach, brzegiem marszczone, stanowią bufki. Tunikę, podpiętą jeszcze wedle upodobania w tyle, dopełnia pasek z szarfą o dużych pękach i dwóch szerokich końcach.



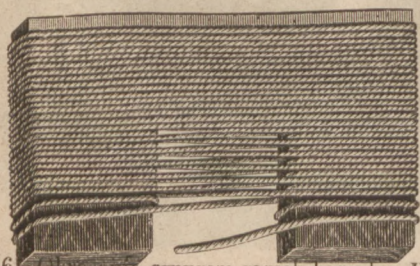
N. 22. Krawatka na drutach.

N. 11. Ubranie stanika z paletotową baskiną.

Paletotowa baskina zostawiona gładko lub ułożona w tyle „à panier“ może być zastosowana do sukni powłóczystej lub do kostiumu dodając spódnicy jednym szerokim, lub kilkoma węższymi pliskami przybraną. Stanik i rękawy, wraz z gładką spódnicą, przedstawiają wygodne domowe ubranie, do którego dać można ładną jeszcze szarfę. Ryc. 25 podaje jedną część garnirunku stanika, w naturalnej wielkości, który przy rękawach wynosi 12 cent. a przy tunice 16 do 20 cent. szerokości.

N. 12—16. Koszyk na deserowe sztucce.

Materiał: Drewniane ramki i denko; sznur konopny, pasowe sukno, także cerata, różno kolorowy jedwab etc.



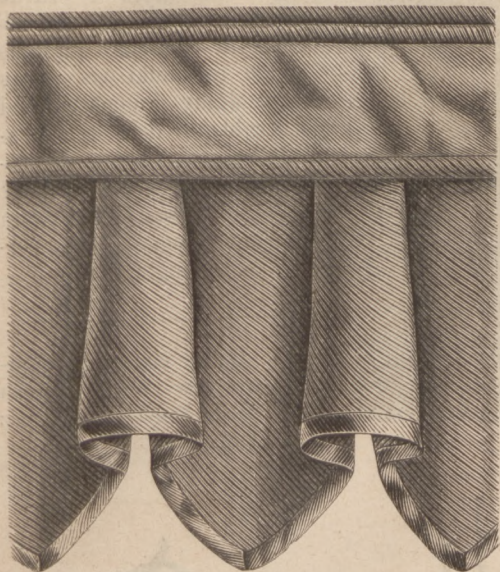
N. 16. Okręcanie sznurem ramek koszyka. Do N. 12.

N. 23. Serwetka na kanwie Jawa.

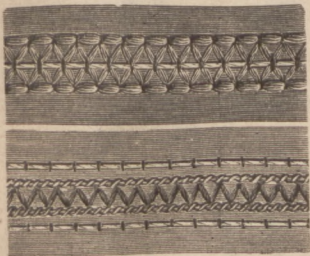
N. 18. Wyszywany szlaczek do N. 17.



Równie łatwy do zrobienia jak trwały koszyk ten, polecamy dla szybkiego wykończenia i pięknej powierzchni. Drewniana podstawa którą każdy stolarz przyrznać może wymaga: na denko, 21 cent. długości a 13 cent. szerokiej deseczki; do niej dają się tej samej długości ramy, złożone z drewnianej listwy 1 1/4 cent. szerokiej a 1/2 cent. grubej; ramki te 5 cent. wysokie, obejmują denko. Przegroda koszyka, przyrządza się jednocześnie, z 9 cent. długą a 3 cent. wysoką rączką do trzymania; uważać należy, ażeby przegrodzenie przykroić niższe cokolwiek od ramek zewnętrznych, odpowiednio do grubości denka. Poprzeczne listewki ramek, okleja się popielatem płótnem i okręca następnie grubym konopnym sznurem jak to rycina 16 objaśnia. Żeby oplatanie równo wypadło, najpierw należy wzdłuż górną listewkę rączki okręcić, dalej następuje okręcanie całej ścian-



N. 24. Garnirunek w zęby do sukien.

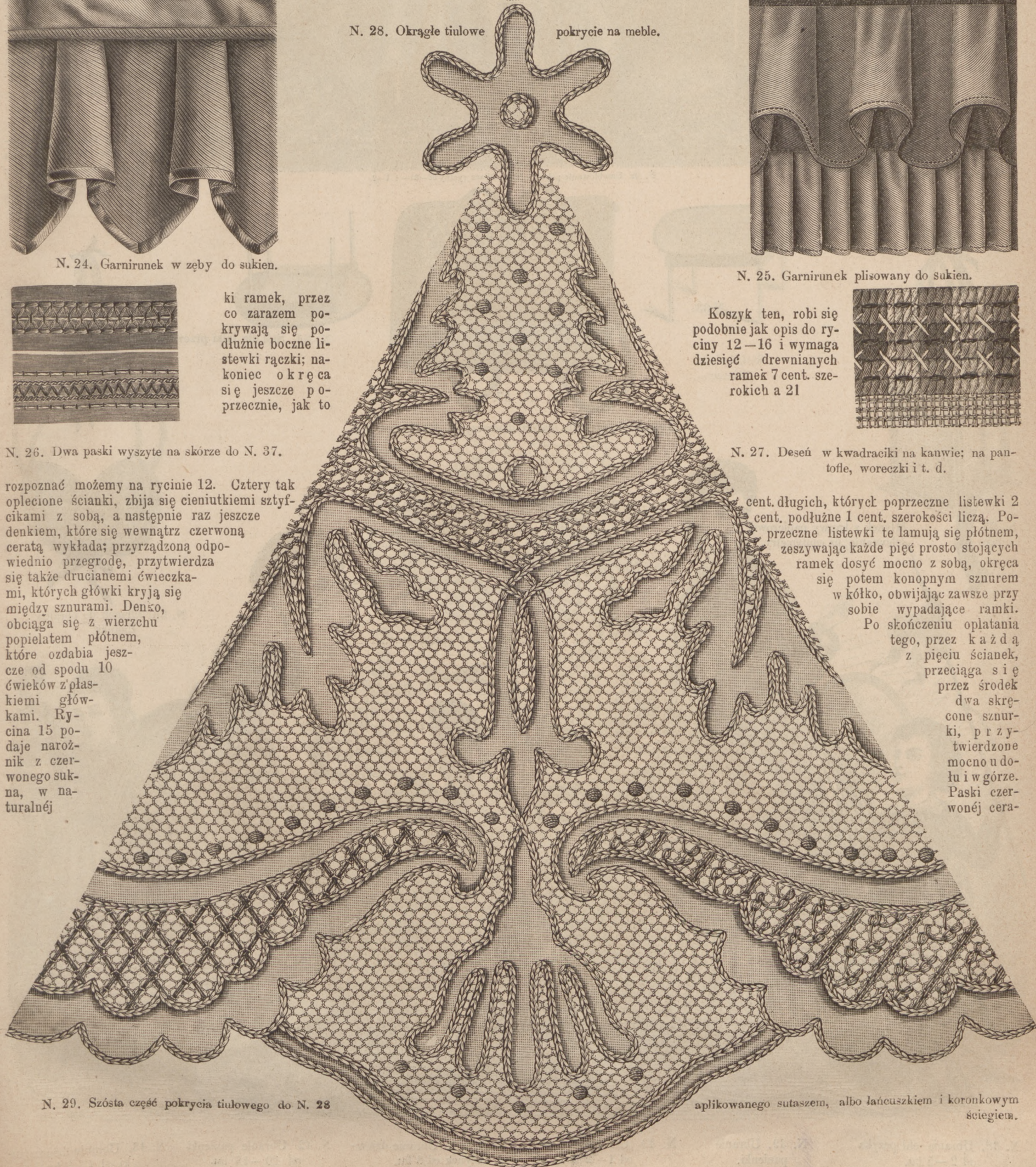


N. 26. Dwa paski wyszyte na skórze do N. 37.

rozpoznać możemy na rycinie 12. Cztery tak oplecione ścianki, zbija się cieniutkimi sztyfcikami z sobą, a następnie raz jeszcze denkiem, które się wewnątrz czerwoną ceratą wykłada; przyrządzoną odpowiednio przegrodę, przytwierdza się także drucianymi świeczkami, których główki kryją się między sznurami. Denko, obciąga się z wierzchu popielatem płótnem, które ozdabia jeszcze od spodu 10 świeków z płaskimi główkami. Rycina 15 podaje narożnik z czerwonego sukna, w naturalnej



N. 28. Okrągłe tiulowe pokrycie na meble.

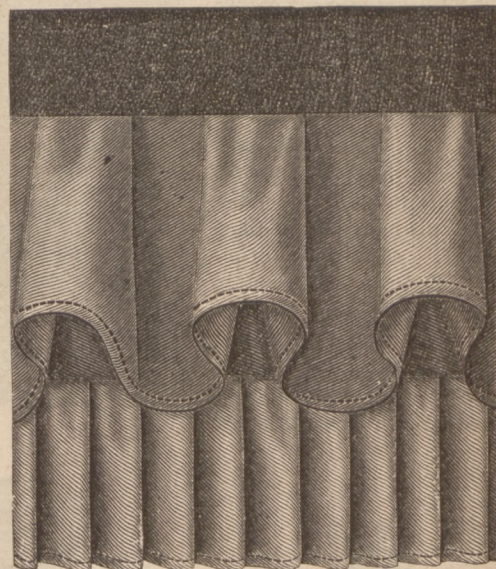


N. 29. Szósta część pokrycia tiulowego do N. 28

wielkości, który przed wyszyciem haftu, zczepia się nieznacznie dla uformowania koła. Podobne do sutasu wyszycie, daje się z ukośnych ściągów białej włóczki, przegrzanych czerwonymi, szafirowymi i zielonymi pęczkami; nad tём, idą w górę czarne u dołu zielone do cieniu dziergane ścięgi, w rodzaju zębów. Deseń narożnika, składa się z małych kawałków czarnego aksamitu, wyszytych brązowym jedwabiem do cieniu. Szlaczek obwijający rączkę, 22 c. długi, podaje ryc. 13, białe na nim kółko, otoczone zielonymi ciemnymi ścięgami, spaja z drugim desenikiem zielona jedwabiem wyszyta girlandka. Ryc. 14 podaje podobny szlaczek, ozdobiony frywolitkowymi kwiateczkami.

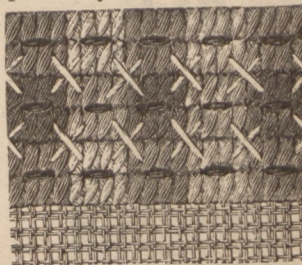
N. 17—18. Koszyk na butelki.

Materiał: Obacz N. 12—16.



N. 25. Garnirunek plisowany do sukien.

Koszyk ten, robi się podobnie jak opis do ryciny 12—16 i wymaga dziesięć drewnianych ramek 7 cent. szerokich a 21



N. 27. Deseń w kwadraciki na kanwie; na pantofle, woreczki i t. d.

cent. długich, których poprzeczne listewki 2 cent. podługne 1 cent. szerokości liczą. Poprzeczne listewki te lamują się płótnem, zeszywając każde pięć prosto stojących ramek dosyć mocno z sobą, okręca się potem konopnym sznurem w kółko, obwijając zawsze przy sobie wypadające ramki.

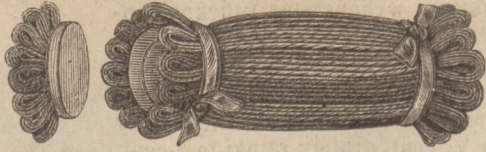
Po skończeniu oplatania tego, przez każdą z pięciu ścianek, przeciąga się przez środek dwa skrócone sznurki, przytwierdzone mocno u dołu i w górę. Paski czerwonej cera-

aplikowanego sutaszem, albo łańcuszkiem i koronkowym ścięgiem.

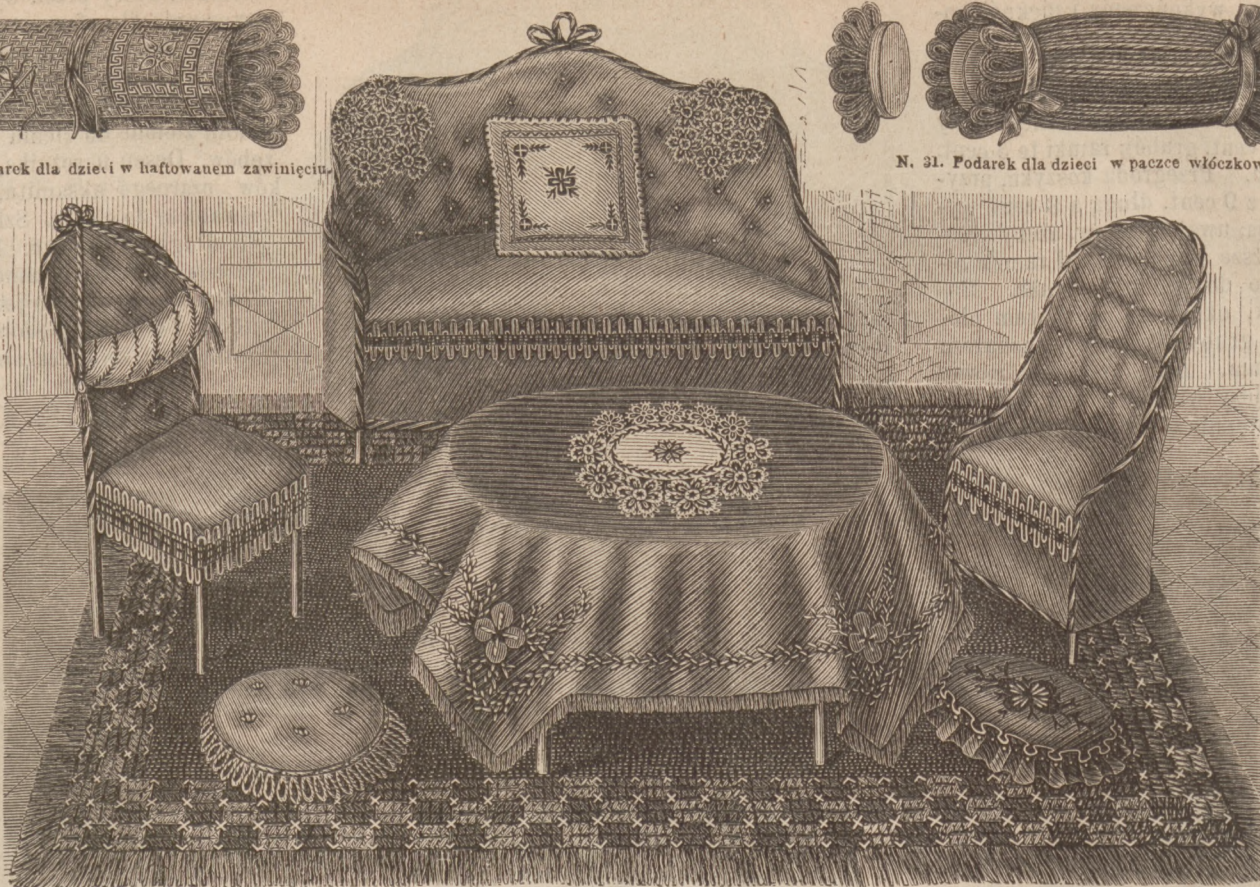
ty pokrywają we-
wnątrz ramki,
które u góry lamu-
ją się sukrem wy-
ciętym w zęby;
dolny brzeg ra-
mek otrzymuje
także, wewnątrz
ceratowy czerwony pa-
sek, przy czem odstepu-
je się kawalek od spo-
du, dla wstawienia ró-
wnież ceratą czerw-
ną obłożonego den-
ka z tektury. Każda
połowa koszyka, lamu-
je się jeszcze raz ceratą,
której brzegi przymo-
wywują się razem cwie-
czkami, dodanemi na
końcu dopiero, dla przy-
twierdzenia płótnem po-
krytego, dla obydwóch
części koszyka przy-
rniętego zarazem dre-
wnianego denka. Pałą-
czek, stanowią dwie
kwadratowe 32 cent.
długie pałeczki, oszyte
w płótno, okrócone
sznurem, i przytwierdzo-
ne mocno krótkimi
cwieczkami i drutem w



N. 30. Podarek dla dzieci w haftowanym zawinięciu.



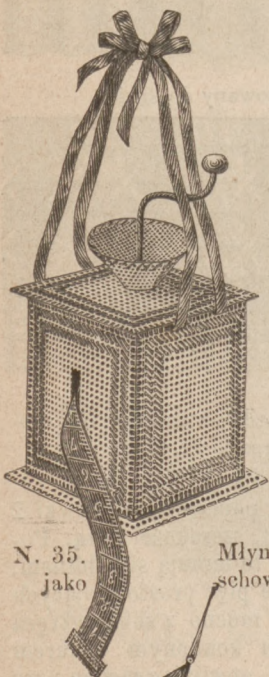
N. 31. Podarek dla dzieci w paczce włóczkowej.



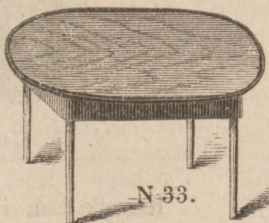
N. 32. Umeblowanie pokoiku lalki. Obacz ryciny 33-31 i 1-2.

pośrodku koszyka.
U góry pałeczka,
daje się poprzecz-
na listewka, w
której jest otwór
dla umieszcze-
nia korkociąga.
Szlaczek czerw-
nego sukna, przedsta-
wiony na ryc. 17 wy-
szywa się podług dese-
niku ryc. 18 gdzie jest
w naturalnej wielkości
podany. Małe na nim
kółka dają się na prze-
mian białe z szafirowem
i czerwonym i czarne
z żółtym i czerw-
nym cieniem. Łączące
je girlandki jak górny
i dolny łańcuszek pod
zabkami dają się z zie-
lonego jedwabia do cie-
niu: wyszycie między
zabkami i łańcuszkiem
jest z jednej strony żół-
te, z drugiej czarne.

Dalszy ciąg opisu drze-
worytów w Tygodniku
Mód. Przytym arkusz z
krojami.



N. 35.
jako

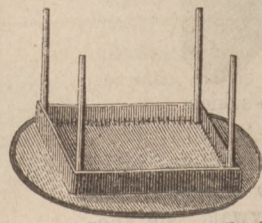


Stół dla lalki.
Wierzeł.



N. 37.

Teka do książek dla małych dziewczynek. Obacz ryc. 26



N. 34. Stół dla lalki przewrócony.



N. 36. Orzech do ubrania
choinki.



N. 38. Ubranie chłopczyka
od 2-5 lat.

N. 39. Ubranie
panienki.

N. 40. Ubranie chłopczyka
od 1-2 lat.

N. 41. Ubranie dziew-
czynek od 8 lat.

N. 42. Ubranie panienki
od 10-16 lat.

N. 43. Ubranie dziewczy-
ni od 4-8 lat.